NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 3 czerwca 1905 r. Nr. 23.

Krwawe sądy w Warszawie.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Dwudziestolecie „Sokoła“ krakowskiego: Pierwsza grupa umundurowanych Sokołów.

Krwawe sądy w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Warszawa jest wielkiem miastem. Jak wszędzie, tak i w Warszawie nie brakuje szumowin i mętów społecznych; nędza popycha setki ludzi w objęcia rozpusty i zbrodni. Ale to, co w Warszawie w tej mierze się dzieje, przekroczyło już dawno granice normalne. Nędza i brak wszelkiej kontroli i akcyi przeciwdziałającej ze strony władz rosyjskich, spowodowały niesłychane rozpanoszenie się prostytucyi i sutenerstwa, idącego zawsze w parze z nędzą i rozpustą. Z sutenerów rekrutują się słynni nożownicy, stanowiący groźną plagę Warszawy, a policyjne czynownictwo rosyjskie toleruje wszelkie nadużycia.

I oto nagle w tych czasach ogólnego wzburzenia Warszawa stała się widownią niebywałych wypadków. Sama ludność pracująca warszawska, sami robotnicy żydowscy, zorganizowani w „Bundzie“ wzięli się do czyszczenia miasta, nie mogąc tolerować dłużej niesłychanych nadużyć, praktykowanych przez swoich współwyznawców. Żydowscy robotnicy rzucili się na żydowskich właścicieli lupanarów i na sutenerów, zabijając i raniąc handlarzy żywego towaru, demolując urządzenia siedlisk rozpusty. Krwawe sądy trwały przez dwa dni. Burzycielom nie chodziło zgoła o rabunek. Jak donoszą pisma warszawskie, napadający, znalazłszy liczne klejnoty w lupanarze na Lesznie, porozbijali je o kamienie na podwórzu, wobec zebranego tłumu.

O początkach tego lynchu nad sutenerami opowiadają co następuje:

Ubogi izraelita, pracownik rzeźniczy, miał narzeczoną, którą mu sutenerzy porwali i osadzili w lupanarze. Chłopiec odszukał swoją ukochaną i zwrócił się do bandy sutenerów z żądaniem wyswobodzenia dziewczyny, lecz handlarze żywym towarem poranili biedaka nożami. Towarzysze poranionego poprzysięgli sutenerom zemstę, a doznana krzywda rozniosła się szerokiem echem wśród ludności żydowskiej, którą banda sutenerów i złodziejów od pewnego czasu w straszny sposób teroryzowała.

Krąży jeszcze inna wersya w dzielnicy Grzybowa, mianowicie, że w jednym z licznych lupanarów, mieszczących się na ulicach Zielnej, Chmielnej i innych, sąsiadujących z Marszałkowską, znajdowała się przemocą porwana dziewczyna, której na ulicy nocą pilnowali sutenerzy. Dziewczyna ta, spotkawszy młodego robotnika, współwyznawcę, opowiedziała mu o swoim losie, a młodzieniec natychmiast udał się do owej bandy łotrów, przesiadujących w piwiarniach i kawiarniach przy zbiegu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej i zażądał od nich uwolnienia dziewczyny.

Odpowiedziano mu nożem i młody izraelita zmarł w szpitalu skutkiem ran zadanych.

Przez dwa dni tj. w ubiegły czwartek i piątek trwały zaburzenia. Tłum jeździł dorożkami, bryczkami od wożenia towarów, i rzucał się na paserskie i sutenerskie kawiarnie, lub szynkownie, wreszcie zaatakował lupanary, zaczynając od ulicy Zielnej. Wszędzie sprawiono istny pogrom. Ulice na których mieściły się najzbytkowniejsze lupanary, przedstawiały widok zniszczenia. Niektóre zasłane były grubą warstwą pierza z popprutej pościeli, a na bruku poniewierały się resztki mebli, połamanych na drobne kawałki, łóżka, szafy, podarte suknie, rozbite lampy, kuferki itp. Stróże domów pod kierunkiem policyi polewali wodą pierze, ażeby nie zanieczyszczały ulic. Z kawiarni pokątnej przy ulicy Zielnej pod l. 17, gdzie zbierali się pośrednicy we wstrętnym handlu żywym towarem, pozostały tylko nagie ściany. Gdzie służba lupanaru stawiała opór, tam przychodziło do walki na noże i rewolwery. Mnóstwo rannych przewieziono do szpitala. Warszawa wygląda zaś, jakby zdemolowana.

Fakt ten, chociaż przerażający grozą, świadczy jednak bardzo chlubnie o podniesieniu się moralności u szerokich mas robotniczych. Bo też nad wyraz smutnem było, że wtedy, gdy robotnicy padali na ulicy od kul kozackich, walcząc za wolność, „Złota młódź“ warszawska bawiła się, oddając się wyuzdanej rozpuście. Takie „przewietrzenie“ Warszawy było bardzo potrzebnem.



Dwudziestolecie „Sokoła“ krakowskiego: Prezes „Sokoła“ krakowskiego p. Władysław Turski.

Na zamieszczonej w dzisiejszym numerze rycinie podajemy obraz jednej z takich walk na podwórzu lupanaru.



Dwudziestolecie „Sokoła“ krakowskiego: Gmach „Sokoła“ w Krakowie, widziany z ulicy Garncarskiej.

Dwudziestolecie Sokoła krakowskiego.

Z pomiędzy narodowych Towarzystw polskich, mających za zadanie kultywować miłość Ojczyzny w narodzie, rozdartym na trzy części, najpoważniejsze miejsce zajmuje „Sokół“. W nim skupiają się najwybitniejsze jednostki, które z hasłem „w zdrowem ciele zdrowy duch“ na ustach, niosą wysoko sztandar miłości ojczyzny.

Sokoł krakowski obchodził w ubiegłym tygodniu 20-lecie swego istnienia. Wychodząc z założenia, że nietylko członkowie jego, ale i społeczeństwo nasze interesuje się rozwojem i losem naszego „Sokoła“ podajemy w kilku słowach dzieje jego powstania.

Do roku 1884 istniał w Galicyi tylko jeden, „Sokół“ — we Lwowie. Dopiero wizyta czeskiego „Sokoła“ w Krakowie dała obywatelom naszego grodu impuls do stworzenia gniazda sokolego nad Wisłą. Projekt przyszedł wkrótce do skutku.

W dniu 21 września 1884 zgromadziło się grono obywateli na zaproszenie prof. dra Obalińskiego i T. Riedla w sali Rady miejskiej i wybrało Komitet przygotowawczy, który opracował statut i I. walne zgromadzenie odbyło się 17 maja 1885; wówczas liczyło Towarzystwo 250 członków. Prezesem wybrano Michała Bałuckiego. Ćwiczenia gimn. rozpoczęły się w ogrodzie przy placu Latarnia od dnia 19 lipca 1885, a w zimie w szopie



Dwudziestolecie „Sokoła“ krakowskiego: Sztandar sokoli krakowskiego gniazda.

browaru braci Johnów, przerobionej na salę gimn. Nauczycielami byli Kazimierz Homiński i Al. Gedłek.

W październiku 1886 obrano prezesem dra Wawrzyńca Stycznia, naówczas prezydenta Izby adwokackiej. Naczelnikiem mianowano Teofila Tyszeckiego.

W r. 1888 Rada miasta oddaje „Sokołowi“ grunt pod budowę gmachu; d. 18 maja 1889 rozpoczęto, a 18 listopada 1889 ukończono budowę gmachu kosztem 88.000 koron. W roku 1895 dobudowano prawe skrzydło dzisiejszego gmachu,



Srebrne gody posła: Dr. Emil Byk, poseł do Rady państwa.

tak, że cała budowa kosztowała 176000 koron. W roku 1891 powstaje oddział wioślarski pod kierunkiem Józefa Rudnickiego. Naczelnictwo gimn. przechodzi w ręce Kazimierza Haczewskiego. W czerwcu tegoż roku w miejsce używanych krakusek wprowadza wydział dzisiejsze batorówki.

W r. 1892 otrzymuje Towarzystwo 60 tysięcy kor. zapisu po Stan. Rogowskim, a w r. 1893 — 42.000 kor. po Franc. Śmieszkowiczu.

W roku 1899 przewodnictwo „Sokoła“ objął p. Władysław Turski, który do dziś dnia urząd ten sprawuje. „Sokół“ nasz rozwijał od tego czasu coraz szerszą działalność, mającą na celu jedynie podniesienie ducha narodowego. Wybornym przeglądem jego sił był zlot we Lwowie w roku 1903.

Podajemy w tym numerze fotografię prezesa „Sokoła“ krakowskiego, pierwszą grupę Sokołów umundurowanych, widok gmachu sokolni oraz fotografię sztandaru naszego gniazda sokolego.

Koronacya cudownego obrazu N. P. Maryi we Lwowie.

W żadnym kraju, w żadnym społeczeństwie nie jest kult Matki Boskiej tak rozpowszechniony, jak u nas w Polsce. Z hymnem pochwalnym na cześć Panny Maryi — szli nasi przodkowie w bój z pohańcem, z Jej imieniem na ustach umierali, a święte inicyały Bożej Rodzicielki nosili na szablach wyryte. I u ludu jest głęboko zakorzenioną wiara w Najświętszą Pannę, a liczne świątynie poświęcone Jej czci — dowodzą pietyzmu dla Maryi w Polsce.

W jednej z tych starych świątyń we Lwowie odbył się w niedzielę uroczysty akt koronacyi obrazu N. P. M. pocieszenia.

Podczas sumy pontyfikalnej, celebrowanej przez ks. arcybiskupa Józefa Webera, wykonał chór „Echa“ pod dyrekcyą Jana Galla, Mszę kompozytora polskiego Józefa Novalisa.

Od rana ustawiono w środku Kościoła łaskami słynący obraz M. B. Pocieszenia, odziany już w bogatą, zdobną kamieniami sukienkę, a obok niego szczerozłote korony: Kazimierzowską i Jagiellońską. Całości tych cennych dzieł naszego złotnictwa (pracownia p. Wojtycha) strzegła straż obywatelska.

Obraz ten, umieszczony obecnie na końcu lewej nawy kościoła pochodzi z Rzymu z czasów Piusa V (1566—1572). Na prośby św. Karola Boromeusza i św. Franciszka Borgiasza, Papież ten zezwolił na dokonanie pięciu kopii obrazu, czczonego w kaplicy książąt Borghese w bazylice rzymskiej Santa Maria Maggiore. Obraz ten miał swoją wiekową historyę i słynął cudami.

Przez 110 lat, t. j. do roku 1740, ołtarz Matki Boskiej miał osobną kaplicę, bogato rzeźbioną na sklepieniu i ścianach; lwowskie obywatelki Wojnikowska i Chmielowa sprawiły też marmurową do kaplicy posadzkę. W r. 1740 kościół, podówczas jednonawowy, z okazyi fundacyi kaplicy św. Benedykta przez Maryę z Zamoyskich Jerzową Dzieduszycką, został przekształcony w ten sposób, że mur z nawy środkowej, odgraniczający cztery boczne kaplice, został przebity i przeto powstały otwarte dwie boczne nawy; ołtarze poprzenoszono pod filary nawy głównej, a na miejscu ołtarzy w dawnych kaplicach, ustawiono konfesyonały. Ołtarze: Matki Boskiej po lewej i św. Stanisława po prawej stronie, pozostały jednak od początku na tem samem miejscu po dziś dzień.

Oto jest po krótce streszczona historya cudownego obrazu N. P. M. Pocieszenia.

Rycina nasza przedstawia uroczystość koronacyi świętego obrazu na Placu Maryackim we Lwowie.



Srebrne gody posła: Żona dra Emila Byka.

Srebrne gody posła.

Znany zaszczytnie ze swej publicznej działalności poseł Emil dr Byk obchodził w tych dniach rzadką familijną uroczystość: srebne gody pożycia małżeńskiego. Grono przyjaciół osobistych i poli tycznych jubilata składało mu serdeczne życzenia, a setki depesz z różnych stron kraju nadeszło dnia tego.

Dr. Emil Byk, poseł do Rady państwa i prezes lwowskiego zboru izraelickiego, znacznie zasłużył się miastu, choć głównie zastępował interesy swych współwyznawców. Jako poseł miał w Wiedniu i ma znaczne wpływy, których nie oszczędzał nigdy, byleby tylko żądania reprezentacyi lwowskiej poprzeć u rządu i zapewnić rozwój miastu pod każdym względem.

W niniejszym numerze podajemy portret jubilata jakoteż jego szanownej małżonki.



Koronacya cudownego obrazu N. P. Maryi we Lwowie: Uroczystość koronacyi na placu Maryackim we Lwowie



BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

1

Na dworcu lwowskim, w sali klasy pierwszej, przechadzał się równym, miarowym krokiem, niemłody, szpakowaty brunet, spoglądając z widocznem zniecierpliwieniem na drzwi, wiodące z kurytarza dworca do sali.

Po pewnej chwili rozpiął palto, sięgnął po złoty zegarek, wskazujący piątą godzinę i mruknął tonem uspokajającym:

— Jeszcze piętnaście minut...

Wtem otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł a raczej wpadł młody człowiek, w rozpiętym paltocie i strząsając na lśniącą posadzkę kropelki wody z kapelusza przemokłego, zawołał tonem wesołym:

— Nie spóźniłem się... i z całą godnością powitam jego ekscelencyę radcę dworu — zaśmiał się.

Ojciec z odcieniem niezadowolenia spojrzał na mówiącego i marszcząc gęste, nasunięte na oczy brwi, ostrzegał:

— Proszę cię, Mundziu, tylko bez żartów ze stryjem Aleksandrem... to człowiek wielkiego znaczenia i wpływów... i zależy mi na tem, aby u nas czuł się tak dobrze, jak we własnym domu. Słyszysz? — kończył pytaniem, widząc, że syn Edmund błądził oczyma po sali i zdawał się nie słuchać.

— Słyszę, ale nie tyle ciekaw jestem stryja, jak Olgi... Czy tatko ją zna?

— Nigdy nie widziałem — a usiadłszy na fotelu, rzekł z wymówką w głosie:

— Dlaczego się nie przebrałeś?... Nie ostrzygłeś ani ogoliłeś... wyglądasz jak socyalista!

Edmund uśmiechnął się, przystąpił do lustra i przypatrując się swemu odbiciu, rzekł:

— Włosy trochę za długie — przyczesywał palcami gęstą, ciemną czuprynę — zapuszczam brodę, więc się nie golę, a ubranie mam tak przyzwoite, że każdy socyalista na pierwszy rzut oka pozna we mnie syna dyrektora filii banku handlowego — spojrzał na ojca wesołemi, ciemnemi oczyma.

Ten udał, że nie słyszał i mówił dalej tonem ostrzeżenia:

— Dla Olgi bądź uprzejmy, bez nadskakiwania... jak ze siostrą...

— Czy Olga długo zostanie u nas?

— Hm... to zależy... ojciec ma zamiar zostawić ją do wiosny. Dla nas będzie to wielką pomocą, a dla Aleksandra wszystko jedno, czy płaci za nią obcym, czy swoim.

— No tak... zapewne — mruknął syn — wolałbym, aby nic nie płaciła... a czy wolno wiedzieć, dlaczego ona porzuca Petersburg i przenosi się tutaj?

— Stryj Aleksander pisał ogólnikowo... dowiemy się... O! Pierwszy dzwonek!

Wyszli na peron, na którym, jak zwykle w każdem większem mieście, snuli się ludzie wyczekujący, biegali gorączkowo tragarze, krzyczeli urzędnicy kolejowi i tuż nadbiegł pociąg pospieszny, a niecierpliwi podróżni starali się otworzyć drzwi wagonów.

Z pociągu wysypał się gorączkowo tłum ludzi, z tobołkami, węzełkami, kuferkami, wśród krzyku, wrzawy, hałasu, nawoływań najrozmaitszemi tonami, a we wszystkich brzmiała nuta zniecierpliwienia.

Z pośród podróżnych trzeciej klasy młody człowiek, niepozornie ubrany, w znoszonym paltocie, w czapce starej, nasuniętej na czoło, trzymając węzełek w ręku, zobaczywszy Eedmunda, zawołał głośno:

— Wojtyrski!... Co robisz tutaj?

Na wygłoszone nazwisko odwrócili się obydwaj, ojciec lekceważąco zmierzył ubogo ubranego młodego człowieka i szedł dalej poważnie ku wagonom klasy drugiej. Syn przystanął na chwilę, przywitał się i rzekł z uśmiechem:

— Obowiązki rodzinne... a ty już wróciłeś? — dziwił się.

— Ważne nowiny przywożę... robota postępuje — dodał półgłosem.

Edmund, widząc niecierpliwe wyczekiwania ojca, szepnął:

— Za chwilę będę wolny.. — i szybko pospieszył za ojcem, który go spytał suchym tonem z ironią:

— Cóż to za przyjaciel?

— Kolega z uniwersytetu... bardzy dzielny.

— Winszuję takich znajomości... jakiś oberwaniec.

— Pozory mylą — rzekł syn z goryczą — a ten, jak tato nazwał oberwaniec, Żalecki, używa u nas najlepszej opinii.

— Mógłby się też ubrać przyzwoicie — mruknął ojciec, rozglądając się bacznie po oknach wagonów.

Gdy pierwsza fala niecierpliwych minęła, poczęli wychodzić podróżni poważni, zasobni w liczne kuferki i pudełka, a w drzwiach jednego z wagonów ukazał się słuszny, elegancko ubrany mężczyzna, z długą, siwawą brodą i zawołał głosem, nawykłym do rozkazywania:

— Hej! tragarz!

Rozejrzał się uważnie po peronie i oczy dwóch braci spotkały się. Zawołali też niemal jednocześnie:

— Aleksander!

— Jan!

Zbliżyli się do siebie bez widocznego pośpiechu, uścisnęli ręce serdecznie, ucałowawszy się przelotnie.

— Tyle lat — szepnął Jan głosem rozczulonym, patrząc ciekawie w twarz przybyłego.

— Dwadzieścia jeden — odrzekł poważnie, a widząc obok stojącego Edmunda — a to zapewne syn, o którym pisałeś... jest jednak pewne podobieństwo rodzinne...

— Edmundzie, przywitaj się!

Zbliżył się i swobodnie podał rękę do uścisku, co wywołało na twarzy ojca zakłopotanie, a u stryja lekkie zdziwienie, oczekiwali bowiem pokorniejszego przywitania.

— A gdzież Olga? — przerwał chwilowe milczenie ojciec Edmunda.

— Oto jest — wskazał na drzwi wagonu, w których stanęła właśnie ładnie ubrana, smukła blondynka, przypatrująca się ciekawie stojącej grupie.

Podeszli ku niej i po zaznajomieniu spytała dźwięcznym głosem:

— A nasze rzeczy, papo?

— Ja się niemi zajmę — ofiarował się Edmund — może kuzynka być spokojną, wszystko będzie w porządku.

— Wpierw muszę pokazać te rzeczy — i cofnęła się w kurytarz wagonu.

Po chwili wyszła, a Edmund, idąc za nią, przypatrywał się z wewnętrznem zadowoleniem swej stryjecznej, że ona idzie równo, elastycznie, umie nosić swoją suknię, a ruchy jej są harmonijne i wdzięczne.

Przez krótką chwilę czekali na tragarzy, znoszących rzeczy do sali pierwszej klasy i Edmund miał sposobność przyjrzenia się kuzynce, której twarz wrażliwa, świeża, mimo zmęczenia podróżą, mieniła się stosownie do otrzymanych wrażeń, i dostrzegł w kątach ładnych ust wyraz uporu, a w tonie głosu pewną stanowczość, będącą w sprzeczności z dziecinnym i łagodnym wyrazem twarzy.

Szli razem długim kurytarzem ku wyjściu, a Edmund, spostrzegłszy oczekującego nań Żaleckiego, przyspieszył kroku i zbliżywszy się, szepnął:

— Dziś o ósmej u Waldmana.

— Dobrze — i patrzał badawczo na obok przechodzącą Olgę. Spojrzenia ich skrzyżowały się. — Czy to krewna?

— Moja stryjeczna... Zatem o ósmej...

— Będę.

Edmund przyłączył się do idących, a w chwili, gdy na dorożkę wkładano rzeczy, spytała Olga obojętnie:

— Z kim rozmawiałeś, kuzynie?

— Z kolegą... Dlaczego pytasz?

— Tak sobie — uśmiechnęła się — byle o czemś mówić.

W ładnie umeblowanem mieszkaniu Wojtyrskich czekał na gości przybyłych stół, zastawiony zimnem mięsiwem, ciastkami, a sama pani, kobieta starsza z łagodnym wyrazem twarzy, z uśmiechem najuprzejmiejszym witała:

— Przyjazd brata, to prawdziwa dla nas uroczystość rodzinna... a, Olga kochana — ucałowała ją serdecznie, co Olga przyjęła biernie — pragnęłabym, abyś u nas czuła się tak dobrze, jak u siebie w domu.

— U nas nie było zbyt wesoło — spojrzała na ojca — spodziewam się, że tu będzie lepiej.

Ojciec, który właśnie podnosił do ust filiżankę z herbatą, postawił ją i rzekł zgryźliwie:

— Lepiej, gorzej, to pusty frazes... wszystko zależy od nas samych.

Zarumieniła się lekko i tylko błysk oczu ciemno-niebieskich zdradził jej niezadowolenie.

— Wszystko, jak wszystko — powątpiewał gospodarz domu — są bowiem wypadki, które zawodzą najlepsze rachuby.

— Rozumny człowiek jest też przygotowany i na niemożliwe wypadki — przemówił radca surowo.

— Hm... może w życiu jednostki, masz racyę, Aleksandrze... ale ja miałem na myśli społeczeństwo wogóle.

— Społeczeństwo?! — zaśmiał się głośno dygnitarz — pozwól, że użyję utartego przysłowia: myszy tańcują, gdy kota nie czują... co? dobre? ha, ha, ha... u was w Austryi, nawet powiem w całej Europie, koty nie mają pazurów, więc też myszy hulają.

Edmund poruszył się niespokojnie na krześle, szybkim ruchem ręki odrzucił włosy z czoła i już miał przemówić, gdy matka, zauważywszy to, powiedziała pospiesznie:

— Mundziu... zdaje mi się, że ktoś dzwoni... zobacz.

Wstał, rzuciwszy niechętne spojrzenie na stryja.

— Może, Aleksandrze, masz racyę do pewnego stopnia, tylko że nie sama słabość rządów ponosi winę tych zamieszek, ale duch czasu, jakieś prądy niezdrowe...

Radca odłożył nóż i widelec, spojrzał zimnem, surowem okiem, i gładząc równą, siwawą brodę, spadającą mu na piersi, rzekł tonem stanowczym:

— Znać Janie na tobie, że żyjesz w państwie słabem, chorobliwem, w którem brak silnej ręki do kierowania tłumem. Spójrz na nas... jest posłuch, spokój, machina rządowa fankcyonuje normalnie, każdy wie co ma robić, jaki jest jego zakres, a wiesz dlaczego? bo jest silna ręka, która rządzi.

— A jednak są wybuchy — wmieszał się do rozmowy Edmund.

Stryj spojrzał lekceważąco i nie zmieniając tonu.

— Gdzie miliony, znajdzie się garstka szaleńców, ludzi narwanych, ale naród nic niema z nami wspólnego... ich się wyłapie, zdusi i spokój.

— Ta właśnie garstka świadczy, że i do Rosyi przedzierają się nowe prądy — zauważył gospodarz.

— Duch czasu — szepnęła półgłosem Olga, spuściwszy oczy.

Na te słowa radca ściągnął brwi gniewnie i wbrew swej powadze, wybuchnął:

— Duch czasu!... Frazes!... Duch czasu objawia się w sztuce, literaturze, w przemyśle... ale nie w pierwotnych ideach, które niszczą ustalony porządek świata, podstawy życia i moralności. Dzisiejszym młodym się zdaje, że jeśli przewrócą wszystko do góry nogami, dopiero nastaną dobre czasy.

Gospodyni domu, widząc, że rozmowa staje się drażliwą przemówiła:

— Na politykę mamy czas... a pewno zmęczeni jesteście długą podróżą... może zechcesz Olgo zobaczyć swój pokój.

— I owszem, stryjenko — wstała z krzesła.

— Mundziu, zaprowadź kuzynkę... zaraz przyjdę sama, tylko lampy zaświecę.

Z pokoju jadalnego przez salonik i gabinet weszli do dość obszernego pokoju, którego dwa okna zwrócone były na ulicę. Pokój, prócz łóżka biało zasłanego, był umeblowany szezlongiem, dwoma fotelikami, szafą, biurkiem między oknami i małym okrągłym stolikiem, na którym stał bukiet świeżych kwiatów.

— A... jakie śliczne astry! — zawołała, zbliżając się do stolika.

— Zwiędną jutro — powiedział z ironią.

— Ale dziś żyją!

— Dziś jest niczem... tylko to jest coś warte, co ma przyszłość przed sobą.

— Przyszłość ma to, co dziś żyje... i nie można gardzić dniem dzisiejszym.

— A więc kuzynka szanuje wszelkie przesądy, zabobony, zmurszałe formy, bo one są dzisiaj — zaśmiał się ironicznie.

— Co szanuję, to moja rzecz — powiedziała chłodno — i nie lubię badania.

— To nie badanie, kuzynko, tylko chęć bliższego poznania.

— A jeśli tak — uśmiechnęła się — wolno ci pytać, byle nie o tajemnice... ale o zwykłe rzeczy.

— Zapewne o zabawy, tańce.. o mody... — przemówił drwiąco.

— A chociażby... czy nie lubisz zabaw? — spytała, siadając na foteliku.

— Kiedyś dawniej... ale już zapomniałem prawie o tych czasach.

Spojrzała z ironicznem zdziwieniem na jego młodą twarz, którą zaledwie drobny puszek na wargach pokrywał i spytała z uśmiechem:

— Ile masz lat, kuzynie?

— Dwadzieścia dwa skończyłem.

— I już nie bawisz się?

— Są poważniejsze sprawy, niżeli zabawa.

— Nie zgadzamy się ze sobą — zaśmiała się — ja lubię wir życia, ruch, wrażenia... i gdybym mogła, rzuciłabym się w odmęt, jak nurek w morze.

— Aby utonąć — rzucił drwiąco.

— Aby użyć — a w oczach jej zapaliły się blaski, usta śmiały się.

— Mundziu, może przeszkadzasz kuzynce... czy nie przebierzesz się, Olga, z podróży? — spytała gospodyni, wchodząc do pokoju.

— Idę już mamo... a kolacya o której?

— Jak zwykle... nie spóźnij się.

— Dobrze mamo... Do widzenia.

— Czy nie trzeba ci czego, Olgo?

— Nie, stryjenko... chciałabym ręce umyć i trochę się przyczesać.

— Umywalka w rogu pokoju... a zniesiono wszystkie twoje rzeczy?

— Zdaje się, że tak.

— Czy przysłać ci młodszą do pomocy?

— Nie... dziękuję... sama sobie poradzę...

W pokoju jadalnym jeszcze zastała gospodyni obu panów, popijających herbatę i palących cygara.

— Czy twoja Ewcia szczęśliwa za mężem? — spytał Aleksander w chwili wejścia pani domu, która, usłyszawszy te słowa, pospieszyła z odpowiedzią:



— A... jakie śliczne astry! — zawołała, zbliżając się do stolika.

— Z naszą Ewcią każdy byłby szczęśliwy, taka dobra, cicha i rozumna...

— To bardzo dobrze — skinął radca głową — każda żona powinna być dobrą i cichą.

— I każda byłaby taką — mówiła z przekonaniem — gdyby mężowie byli uczciwi i porządni... jak np. Jan — wskazała oczyma na męża.

— Ile lat miała Ewcia, wychodząc za mąż?

— Dziewiętnasty.

— O to tak, jak Olga teraz...

— O, i córka twoja znajdzie dobrego męża... ładna, miła, wykształcona...

— Daj Boże — westchnął i obejrzawszy się wokoło, zniżył głos: — Kiedy zostaliśmy sami, skorzystam ze sposobności i wytłumaczę przyczynę naszego przyjazdu.

— Słuchamy — zachęcała pani, siadając bliżej szwagra.

— Po skończeniu pensyi wziąłem Olgę do siebie, postarawszy się poprzednio o starszą, poważniejszą towarzyszkę dla niej. Chciałem odnowić dawne znajomości, dać kilka zabaw, bal jeden... drugi...

— I wydać ją za mąż — uzupełnił brat.

— Nie przeczę... ale Olgę nudziło to towarzystwo — westchnął — i tak mnie męczyła, że najpierw pozbyłem się jej towarzyszki... potem moja panna odnowiła swe pensyonarskie przyjaźni... zaczęły się zebrania panieńskie, przychodzili bracia, kuzyni... i to ludzie jacyś niewyraźni, bez stanowisk, nie z naszej sfery... Dość, że widziałem się zmuszony przerwać te znajomości, zwłaszcza, że Olga wygadywała czasem takie herezye społeczne i polityczne, iż domyślałem się wpływu demagogów.

— Tak, tak, bez matki trudno wychować dziewczynę — westchnęła pani.

— Otóż, aby przeciąć to wszystko, wywiozłem ją... tu, pod okiem bratowej, jestem pewny, że przyjdzie do równowagi.

— Będę jej pilnowała jak rodzonej córki — upewniała szczerze.

— Nie wątpię — uśmiechnął się przyjaźnie — a jako pomocniczy środek do jej uspokojenia, obiecałem jej, że pozwolę się jej kształcić jak tylko zechce. Prywatne lekcye, odczyty, muzyka... bo główna rzzecz, aby fantazya i głowa były zajęte.

— Słusznie, słusznie — przytakiwał brat — a czy Olga da się prowadzić?

— Dobrocią niemal wszystko da się z nią zrobić... ona zresztą nie dziecko, usłucha mądrej rady... no, i do pewnej swobody przywykła... jednak zawsze wiedziałem gdzie idzie, do kogo...

— Ułatwienia w nauce są tu, w naszem mieście, bardzo znaczne — mowiła pani — może brać lekcye malarstwa, rzeźby, jeśli tylko zechce.

— Wybór przedmiotów zostawiam Oldze w zupełności, niech się bawi nauką — uśmiechnął się drwiąco — bo, niech to tylko bratowej nie obraża, ja nie wierzę w te nauki damskie... dla nich nauka trwa tak długo, póki nie wyjdą za mąż, a potem zostaje tylko mąż... dzieci... gospodarstwo, kuchnia...

— Prawdę mówisz — poparł go brat — przekonałem się w naszym banku. Co to próśb, protekcyi, nareszcie otrzymała miejsce, a po kilku miesiącach ma starającego się i wszystko w kąt idzie.

— Wiem o tem, to też zgodziłem się na żądanie Olgi... owszem, ucz się, kiedy chcesz, wolę to aniżeli flirt — zaśmiał się. — O jedno proszę tylko bratową, aby Olga nie przyjaźniła się z byle kim.

— Nad tem będę czuwała... my zresztą mamy tak szczupłe grono znajomych, że bywanie u nas jest bardzo utrudnione.

— To dobrze... bardzo dobrze — uznał radca z łaskawym uśmiechem. — Co do warunków pieniężnych już się porozumiałem z Janem... zabawię tu jeszcze przez jutro...

— Tak prędko wyjeżdżasz?!

— Muszę... obowiązki służby — westchnął — zresztą, co ja tu pomogę? Nie znam ludzi, stosunków... wy to lepiej sami załatwicie.

II.

Właśnie dyrektor Wojtyrski wrócił z poobiedniego spaceru, aby wypić białą kawę, jak to było u niego w domu zwyczajem, gdy żona, nie czekając, aż wejdzie do jadalnego pokoju, wyszła szybko naprzeciw niego do saloniku i zawołała głosem stroskanym:

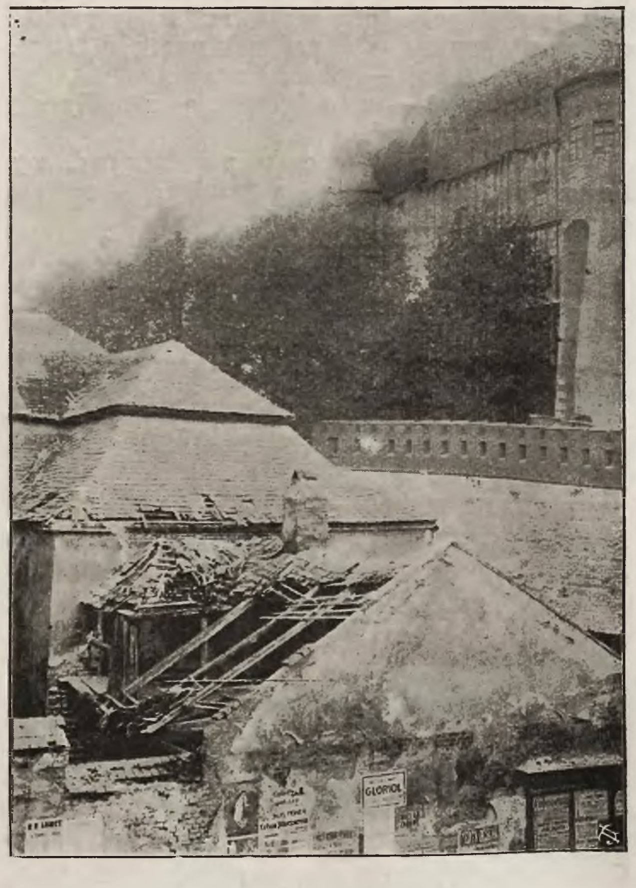
Ciąg dalszy nastąpi.

Szanujmy zabytki!

Kraków jest miastem, mającem dla każdego Polaka moc magnetyczną. Jest to miasto sercu polskiemu najdroższe, miasto najdroższych pamiątek przeszłości. Na każdym bowiem kroku spotykamy w Krakowie rzeczy, na które nie możemy patrzyć bez wzruszenia. Tu prawie każdy kamień jest świadkiem jakiegoś epokowego momentu w historyi naszej; tu każdy gmach zdaje się być tajemniczą siedzibą duchów przeszłości, które w noce pogodne gwarzą w świetle miesiąca o dawnych czasach, kiedy to na ulicach rozbrzmiewał szczęk oręża, a w słońca promieniach złotem się lśniły jaśniące zbroje dworzan i husaryi królewskiej.

Tem smutniejszym wobec tego jest fakt, że my sami tych zabytków przeszłości nie szanujemy, że przechodzimy obok nich obojętnie, nie zdając sobie sprawy z tego, że z upadkiem miłości najdroższych duszy naszej pamiątek, upaść musi również miłość ojczyzny, a to byłoby dowodem powolnego gnicia i rozkładu naszego narodu. A na każdym prawie kroku napotykamy zabytki naszej przeszłości, które wkrótce znikną z powierzchni ziemi, jedynie wskutek tego, że zamało o te zabytki dbamy, że nie staramy się ich restaurować, odnawiać i utrzymywać w należytym stanie.

Typowym okazem takiego zaniedbania z naszej strony jest kościółek św. Idziego, znajdujący się przy ulicy Grodzkiej i Podzamcze, tuż u stóp Wawelu. Kościółek to jeden z najstarszych w Krakowie, świadek jeszcze tatarskich napadów na Polskę i świadek najświetniejszych chwil, jakieśmy w naszem życiu jako państwo samoistne mieli. Dzisiaj przedstawia on typowy obraz zniszczenia. Obdarte, obszarpane mury patrzą jakby z żałością na tych ludzi dzisiejszych, do których przeszłość już nie mówi, dla których przeszłość przestała być świętością. A jeszcze gorzej wyglądają równie stare jak i sam kościółek mury przybudówki znajdującej się tuż obok kościoła. Takiego rumowiska nie zniosłoby żadne inne miasto. U nas wprawdzie miasto chciało zburzyć tę całą przybudówkę, ale oparło się temu, i bardzo słusznie, towarzystwo konserwatorów zabytków Krakowa. Ale, powiedzmy otwarcie,



Szanujmy zabytki: Widok przybudówki przy kościółku św. Idziego.

lepiej było zburzyć to wszystko, aniżeli pozostawiać w takim, jak dotychczas stanie. Wszakżeż te ruiny, opuszczone i zaniedbane, szpecą tylko tę najdroższą dla nas część miasta, wszakżeż te ruiny zasłaniają obcym, zwiedzającym miasto nasze, widok na Wawel, bo każdy przed tym kościółkiem się zatrzyma, by się przyjrzeć Kurzej stopie wawelskiej obok której mieściły się ongiś pokoje królowej Jadwigi.

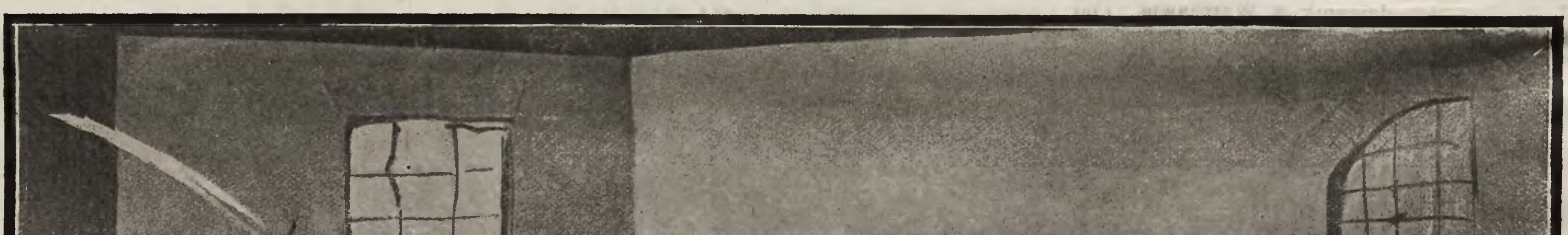
Zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię przedstawiającą ruinę obok kościoła z widokiem na Wawel, w tem przypuszczeniu, że Towarzystwo konserwatorów na seryo weźmie się do pielęgnowania zabytków. Chyba, że Towarzystwo konserwatorów ma za zadanie konserwowanie ruin, zamiast utrzymywanie ich w jakim takim stanie.

Z tajemnic więzień kijowskich.

Więzień polityczny ma w całym cywilizowanym świecie, w stosunku do innych, zwykłych zbrodniarzy, pewne polityczne prawa i przywileje. Nie podlega on zatem ani utracie czci, jest lepiej i względniej traktowany i t. p. Wyjątek pod tym względem stanowi jedynie — Rosya. Więzień polityczny należy w oczach czynownictwa do kategoryi najgorszych zbrodniarzy, dla którego żadna ochrona, ani opieka prawna nie egzystuje, poddawany jest najsroższym karom i najdotkliwszym sekaturom ze strony władz i zarządu więzienia.

O azyatyckich tych stosunkach, dowiadujemy się niestety! — aż zbyt często. Ostatnie wiadomości z Kijowa głoszą właśnie o takich gwałtach i bezprawiach, dokonywanych na bezbronnych politycznych więźniach.

Naczelnik tamecznego więzienia, niejaki Molickij, jest to łotr nad łotry, który cały swój dowcip i marną zresztą inteligencyę wysilał zawsze w jednym tylko kierunku: w jakiby sposób zatruć życie aresztantów? Prześladowania te były coraz ostrzejsze, a skarg podawanych na niego do wyższych władz, nie uwzględniano nigdy. Wobec tego postanowili więźniowie zastrejkować. W więzieniu jest jedyny strejk możliwy: strejk głodowy. Aresztowani nie przyjmowali już przez 3 dni pożywienia, co oczywiście przy braku ruchu musiało ich zdenerwować i przygnębić. Z tego stanu skorzystał Malickij. Wpadł na czele żandarmów do więzienia i przy pomocy ich dokonywał osobistej rewizyi, dopuszczając się przytem niebywałych brutalności. Więźniowie stawiali czynny opór, a na to tylko czekał ich kat. Zaczęto ich wiązać, a wtedy jeden z nich uderzył ręką w twarz Malickiego. Malickij rzucił się na niego z pałaszem, ale cios chy-



Z tajemnic więzień kijowskich: Znęcanie się nad więźniami politycznymi.

bił, gdyż zamiast więźnia — ugodził żelazem w głowę żandarma, który krwią oblany zwalił się na ziemię. Rozpoczęła się dzika orgia pastwienia się nad bezbronnymi. Bito ich, kopano i szarpano. Dość powiedzieć, że jeden z nich ma na ciele przeszło 50 ran kłutych i ciętych. Większość więźniów leczy się po szpitalach.

Wprawdzie wszczęto dla pozoru śledztwo w ohydnej tej sprawie, ale nie trudno przewidzieć, że wyższe władze nietylko bezkarnie puszczą występek — ale z pewnością wyrażą mu jeszcze uznanie za „sprężystą i sumienną służbę“. Tak bywa w Rosyi, która z położenia geograficznego leży w Europie, dzikością jednak przeszła prawdziwych azyatów.

Po wybuchu bomby w Warszawie.

W ostatnim numerze naszego pisma podaliśmy dokładną illustracyę i wyczerpujący opis strasznego zamachu dynamitowego, którego widownią była ul. Miodowa w Warszawie. Bomba, jak wiadomo przeznaczoną była dla generał-gubernatora Maksymowicza, który tamtędy miał przejeżdżać, przedwczesny jej wybuch atoli, spowodowany szamotaniem się policyjnych agentów ze spiskowcem, miał za skutek śmierć i poranienie kilkunastu niewinnych ofiar i zrujnowanie bytu dwóch kupców, których sklepy znajdowały się w pobliżu strasznego wypadku.

Policya warszawska, władze administracyjne i cenzura, zaskoczone tego rodzaju niespodziankami, starają się za każdą cenę zatrzeć wspomnienie ich zarówno w umysłach mieszkańców, jak i na miejscach zdarzonej katastrofy. Tym razem nie powiodło się to atoli ani cenzurze, ani „władzom bezpieczeństwa“, które — nawiasowo powiedziawszy, na największe niebezpieczeństwa narażają spokojnych obywateli. Po dokonanym zamachu rozesłała cenzura okólnik do wszystkich redakcyi z ostrzeżeniem i rozkazem, by żaden z dzienników nie odważył się wspominać o zamachu, aż dopiero po urzędowym kumunikacie „Dziennika warszawskiego“. W odpowiedzi na to oświadczyli wszyscy redaktorzy, że jeżeli zakaz cofnięty nie zostanie, nie ukaże się żaden dziennik w Warszawie. Pod tym rygorem zniewol ną była cenzura odstąpić od głupiego, a samowolnego żądania. Dzienniki wyszły, a sprawa zamachu i ich przyczyna była szeroko na ich szpaltach omawianą.

Nie lepiej powiodło się policyi w jej usiłowaniach „zatarcia śladów zbrodni“ na ulicy Miodowej. Po oprzytomnieniu władz zabrano się z niewidzianym zazwyczaj pośpiechem i gorliwością do uprzątania gruzów i naprawiania bruku, w którym bomba poczyniła głębokie wyrwy. Widownię katastrofy otoczono na znacznej przestrzeni balustradą, poza którą wstęp zwykłym śmiertelnikom wzbroniony. Tajna i jawna policya pilnuje dniem i nocą porządku. Rozbite szyby i uszkodzenia murów, rozkazano właścicielom odnośnych kamienic natychmiast naprawić. Cukiernikowi Trojanowskiemu, któremu wybuch kompletnie zdemolował sklep i werandę letnią, polecono rozpoczęcie natychmiastowej rekonstrukcyi zakładu, na własny koszt oczywiście bez względu na to, że Trojanowski, człowiek wcale nie bogaty, został kompletnie zrujnowany. To samo rozporządzenie wydano właścicielowi handlu obrazów Sommerowi, który niemniej od swego sąsiada ucierpiał. Pomimo jednak wszystkich zabiegów cenzury prasowej z jednej, a policyi z drugiej strony, nie udało się zatrzeć lub zniszczyć strasznych pamiątek z 19 maja.

Rycina nasza, zrobiona według zdjęcia fotograficznego na miejscu, przedstawia ulicę przed sklepami Trojanowskiego i Sommera — na drugi dzień po katastrofie. Bruk wprawdzie naprawiony, szyby w oknach kamienic ponaprawiane, tylko weranda cukierni — dawniej oszklona przedstawia połamany szkielet balustrad i wiązań żelaznych. Dookoła snują się grupy publiczności, wśród której pilnują porządku przedstawiciele władzy: stójkowi i żandarmi.

Dzień 19 maja będzie długo pamiętnym w sercach Polaków i zajmie wybitne miejsce w historyi rewolucyi warszawskiej!...



Cesarski dar na konkurs hippiczny w Krakowie: Posążek Sobieskiego, wykonany przez J. Raszkę w Krakowie.

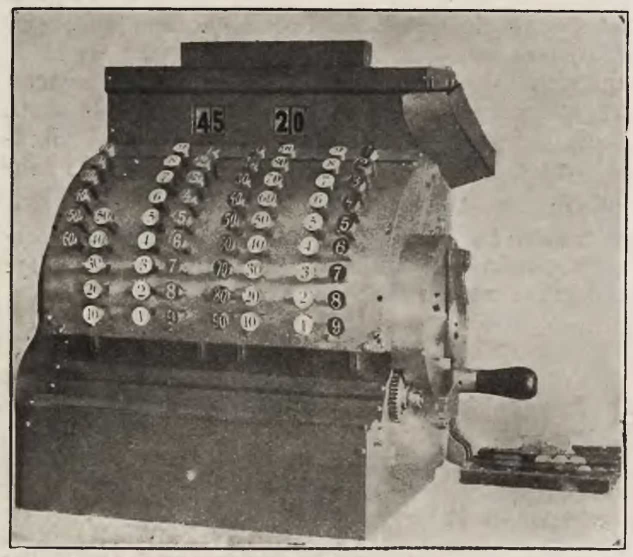
Cesarski dar na konkurs hippiczny w Krakowie.

Wyścigi, to jeden z najszlachetniejszych sportów lepszego towarzystwa, sport, który budzi zainteresowanie najwyższych sfer, ba! nawet panujących. I nasz cesarz, sędziwy Franciszek Józef I gorący miłośnik wszelkiego rodzaju ćwiczeń cielesnych i gier sportowych, sam będąc wytrwałym turystą, wybornym strzelcem i jeźdźcem „con amore“, popiera chętnie kluby i stowarzyszenia sportowe. Instytucya wyścigów niejedno mu też zawdzięcza. I w bieżącym sezonie nie zapomniał monarcha o krakowskich wyścigach i przeznaczył jako nagrodę wspaniały, cenny dar. Jest to srebrny posąg Sobieskiego na koniu, zamówiony imieniem cesarza przez J. E. hr. Attensa i hr. Jerzego Mycielskiego jako pierwsza cesarska nagroda na konkurs hippiczny w Krakowie, który się odbył dnia 14 maja b. r. Zaszczytnem tem zamówieniem został obdarzony utalentowany artysta-rzeźbiarz p. Jan Raszka profesor szkoły techniczno-przemysłowej w Krakowie. Praca ta posiada wysoką artystyczną wartość, a przedstawia bohaterskiego króla na koniu. Cała postać Sobieskiego, jak i ruch konia, rasy arabsko-polskiej, znakomicie uchwycony i zestrojony.

Twórca posążku ukończył akademię malarską w Wiedniu, gdzie powstały większe jego prace jak: „Cud różany św. Elżbiety“. Oprócz tego brał na konkursach kilka przeważnie pierwszych nagród. Raszkę spotykały różne zaszczytne obstalunki; i tak n. p. malował portret arcyks. Eugeniusza na koniu dla królowej hiszpańskiej, portret cesarza na koniu, etc. Że jest zarówno dzielnym rzeźbiarzem, jak malarzem, dowiódł Raszka rzeźbioną statuą Sobieskiego, której fotograficzne zdjęcie w niniejszym numerze podajemy.



Po wybuchu bomby: Fotografia ul. Miodowej, zdjęta na drugi dzień po wybuchu bomby.



Ulepszone kasy automatyczne: Kasa wynalazku p. Janika.

Ulepszone kasy automatyczne.

Z prawdziwą przyjemnością przystępujemy dziś do zapoznania szerszego ogółu z wynalazkiem, który tak świetnie się udał znanemu kupcowi lwowskiemu p. Edwardowi Janikowi, współwłaścicielowi firmy Musiałowicz i Janik. Oto wynalazł on i skonstruował kasę rejestrującą, która niezawodnie wyprze zupełnie dotychczas istniejące.

Te ostatnie bowiem posiadają jeszcze wiele braków, a najgłówniejszym jest ten, iż nie są urządzone tak, aby potrafiły utrzymać w tajemnicy przed niepowołanem okiem wysokość targu dziennego, gdyż gotówka, w tych kasach się znajdująca, jest personalowi przystępną, a co ważniejsza, nie usuwały one możności strat, wynikających z omyłek przy zmianie pieniędzy, lub strat, wynikających z innych niedokładności.

Kasa p. Janika usuwa wszystkie te braki. Za naciśnięciem guzików podaje ta kasa do ostatniej pozycyi kwotę wpłaconą, drukuje zapłaconą pozycyę na osobnej taśmie papierowej i uwidocznia tę kwotę płacącemu, oraz w mgnieniu oka oblicza i wypłaca automatycznie resztę, nota bene z kasy, która jest stale zamkniętą, do której przystęp ma jedynie posiadacz klucza. A podnieść to należy, że aparat operuje równocześnie monetą złotą, srebrną, zdawkową i banknotami.

Najciekawszym jest fakt, że w kołach fabrykantów kas regestrowych, które dysponują całym sztabem zawodowych techników i wynalazców, uchodziło skonstruowanie tego rodzaju maszyny za rzecz absolutnie niewykonalną; tem większy jest więc tryumf naszego wynalazcy, do którego zgłosiły się już bardzo poważne firmy zagraniczne, chcące nabyć wynalazek ten, opatentowany we wszystkich prawie krajach cywilizowanych.

Ilustracya nasza przedstawia maszynę tę, którą mieliśmy sposobność oglądać w ruchu.

W szponach niedźwiedzich.

Człowiekowi wyznaczył Bóg i Natura dominujące i właściwe jego ustrojowi stanowisko w świecie i poddał pod jego władzę wszystko, co na powierzchni i w głębi lądów i wód się znajduje. Człowiek dobry i normalny, zdający sobie sprawę ze swego powołania i stanowiska — umie mądrze wykonać swoje przyrodzone prawa. Człowiek wynaturzony, o spaczonych instynktach i upodobaniach, nie potrafi się nigdy w tych granicach utrzymać. Widzimy to zwłaszcza w stosunku niektórych ludzi do zwierząt. Jedni popadają w jakąś chorobliwą egzultacyę na punkcie zamiłowania w chodowli psów, kotów, ptaków, a nawet dzikich zwierząt. Inni znajdują przyjemność w dręczeniu i znęcaniu się nad stworzeniami. Koniec takich wyrodków bywa zazwyczaj bardzo smutny. Jako przykład, niech posłuży następujące zdarzenie.

W Tyflisie mieszkał z dziada i pradziada osiedlony bogaty kolonista-niemiec niejaki Kugler. Stary, bo liczący przeszło 70 lat dziwak, odziedziczywszy po rodzinie majątek, usunął się zupełnie od ludzi i w ponurej samotności pędził swe dnie. W domu, a raczej w pustelni nie miał innych domowników oprócz kilku starych, jak on, niedźwiedzi. Oryginalny chodowca przyuczył swych pupilów do picia wódki, któremu to nałogowi i sam namiętnie się oddawał. Czas schodził odludkowi na pijaństwie i zapasach, które od czasu do czasu z niedźwiedziami urządzał. Odznaczał on się pomimo podeszłego wieku niepospolitą siłą fizyczną i w walce z dzikiemi bestyami wychodził zawsze zwycięsko. Atoli — przyszła kreska na Matyska. Jeden wielki niedźwiedź był dla swojego wychowawcy nie do pokonania, i niejednokrotnie przyprawiał go o bolesne podrapanie i stłuczenie. Kugler wziął pewnego razu na „ambicyę“, uczęstował kudłatego współzapaśnika podwójną porcyą wódki i według wszelkich zasad i reguł zaczął się z nim mocować. Ale zwierzę, podniecone wódką i rozdrażnione napadem swego pana, tak zajadle rzuciło się na niego, że Kugler dla obrony własnego życia chwycił za żelazny drąg i uderzył niedźwiedzia po głowie. Niedźwiedź z wściekłym rykiem stanął na dwóch łapach, rzucił się na niemca i w mgnieniu oka rozszarpał go w kawały. Rycina przedstawia pełną grozy scenę, gdy rozjuszone zwierzę dusi w uściskach swego prześladowcę.



W uściskach niedźwiedzia: Dziwak Kugler, mocujący się z jednym ze swych niedźwiedzi.

Zamach dynamitowy w Tenczynku.

„Przykład działa zaraźliwie“ — jest to utarte przysłowie, może nieco przesadzone, nie pozbawione jednak pewnej słuszności. Możnaby raczej powiedzieć, że przykład działa suggestywnie i zachęcająco, zwłaszcza w okolicznościach analogicznych. Ruch rewolucyjno-strejkowy i tryumf terroru za kordonem zachęcił w ten sposób pewną grupę naszych robotników do spróbowania podobnej broni, jakiej używają ich współbracia. W naszych stosunkach, aczkolwiek dola robotnika jest ciężką i wcale nie do pozazdroszczenia, znalazłyby się z pewnością mniej gwałtowne i ryzykowne środki do wywalczenia słusznych praw klasie pracującej jak dynamit, do którego to środka uciekli się strejkujący górnicy w Tenczynku. Historya samego strejku jest krótka. W kopalni węgla „Kmita-Tenczynek“ zabastowali robotnicy i dnia 13 b. m. zawiesili robotę, przedstawiając swoje żądania, które zarząd bez namysłu odrzucił. Natomiast dyrekcya kopalni zaproponowała górnikom urzędowo przez delegata urzędu górniczego z Krakowa swoje warunki, które z kolei strejkujący znów odrzucili. Ostateczną odpowiedzią zarządu było wypowiedzenie robotnikom pracy na 14 dni naprzód, aby zaś uchronić się od możliwych zaburzeń, zażądano ze strony dyrekcyi pogotowia żandarmskiego.



Zamach dynamitowy w Tenczynku: Karol Hromek, dyrektor kopalni w Tenczynku.

Pamiętnej nocy z dnia 20 na 21 b. m. przeraził mieszkańców górniczej osady niezwykły huk. Co żyło, zerwało się na nogi i pobiegło w kierunku detonacyi, przed dom inżyniera kopalni pana Hromka. Wysadzone okna, drzewa pogruchotane i obsypane odłamkami szkła, świadczyły niezbicie, że dynamit, tę najstraszniejszą broń bezbronnych, wprowadzono do walki.

Wewnątrz domu dziwnym jakimś a szczęśliwym trafem wybuch nie poczynił znacznych szkód ani mieszkańcom krzywdy wielkiej nie wyrządził. Tylko drzwi od szafy, stojącej naprzeciwko okien, eksplozya wysadziła, dzieci, leżące w łóżeczkach zostały obsypane kawałkami szkła z szyb, a jedno dziecko doznało nawet drobnych obrażeń twarzy. Inżynier Hromek, który również spoczywał już w łóżku — został prądem powietrza rzucony o ścianę i chwilowo ogłuszony.

Na drugi dzień zjechała żandarmerya i komisya śledczo-sądowa z Krakowa na miejsce wypadku. Jak dotąd, nie udało się sprawcy wykryć.

Szereg rycin naszych przedstawia: zewnętrzny widok domu p. Hromka po wybuchu, pokój z uszkodzonem oknem i rozbitą szafą, oraz portret pana Hromka, moralnego sprawcy tego pierwszego u nas zamachu dynamitowego ze strony strejkujących robotników.



Przesilenie na Węgrzech: Baron Burian.



Zamach dynamitowy w Tenczynku: Dom, w którym mieszka inżynier Hromek.

Przesilenie na Węgrzech.

Przesilenie na Węgrzech nie zbliżyło się bynajmniej do końca. Opozycya, z Kossuthem na czele, stoi przy swych żądaniach jak mur i ani myśli ustąpić. W ubiegłym tygodniu bawił w Peszcie poseł cesarza austryackiego, mający pełnomocnictwo traktowania z koalicyą zjednoczonej opozycyi. Mówimy poseł, bo trudno nazwać inaczej barona Buriana, obecnego ministra wspólnego skarbu, któremu poruczono tę misyę. Zawodowy dyplomata, zięć byłego ministra honwedów Fejerwarego, władający biegle językiem madziarskim, bo sam jest obywatelem węgierskim, baron Burian nadawał się wcale nieźle do owej misyi przeprowadzenia zgody między Koroną a opozycyą. Tej ostatniej zaproponował objęcie rządów. Opozycya chce tego, chodzi tylko o warunki.

Przedewszystkiem opozycya życzy sobie rozdziału celnego. Przemysł austryacki uważa granicę celną między Austryą i Węgrami za ruinę dla siebie. Hr. Gołuchowski znowu jest zdania, że rozdział celny doprowadziłby w krótkim czasie do rozdziału armii wspólnej na dwie armie odrębne i skutkiem tego sprzeciwia się granicy celnej. Na tym punkcie zatem musi przyjść do kompromisu.

Jest jeszcze punkt drugi, również kompromisu wymagający, a mianowicie: sprawa wojskowa. Opozycya węgierska, poparta przez wszystko, co jest madziarskiem na Węgrzech, twierdzi, że w zasadzie prawa z r. 1867, będące wznowieniem nieprzedawnionej konstytucyi Królestwa węgierskiego, uznają odrębne „wojsko węgierskie“, będące częścią składową armii wspólnej. Trzeba więc teraz owemu wojsku węgierskiemu dać komendę węgierską. Komenda naczelna, kierunek zwierzchni, wszystko to pozostanie wspólnem i nadal. Tej komendy w języku madziarskim generałowie austro-niemieccy w żaden sposób nie chcą dopuścić. A opiera się jej również i cesarz.

Baron Burian miał przeprowadzić zgodę między Koroną a opozycyą. Ale usiłowania jego spełzły na niczem. Również nie przyniosło pożądanych rezultatów powołanie hr. Andrassyego do Wiednia, gdyż opozycya nie chce ani na krok od swych żądań odstąpić. Ostatecznie cesarz postanowił utworzyć na razie gabinet urzędniczy, którego szefem ma być gen. Fejerwary.

Nominacya generała Fejerwary'ego na prezydenta ministrów wywołała jednakże burzę u wszystkich stronnictw i jeszcze bardziej wzmogła naprężenie przesilenia. Gabinet Fejerwary'ego, o ile naturalnie przyjdzie do skutku, będzie tylko gabinetem przejściowem, czasowem załataniem dziury, bo skoalidowana opozycya, która zmogła Tiszę, zwycięży i jego i za parę miesięcy przyjdzie znowu do zaognienia sytuacyi. Zdaje się, że wytrwałość Węgrów, ich stanowcza, pełna godności, a umiejętna opozycya, musi zwyciężyć.

Interesy rządu muszą ustąpić przed wolą narodu i to narodu, mającego w parlamencie takich zastępców jak Kossuth, syn nieśmiertelnej pamięci Ludwika Kossutha, jak hr Andrassy, Apponyi i tylu innych.

Parlament węgierski jest dzisiaj najlepszym dowodem, co parlament, jako konstytucyjne zebranie wybrańców ludu, mających radzić nad jego potrzebami, może zdziałać.

Jak dzisiaj, przesilenie węgierskie nie tylko, że się nie wyklarowało, ale się coraz bardziej zaognia. Gabinet Fejerwary'ego nie zdoła sprowadzić zgody między Koroną, a opozycyą, bo wtedy dopiero nastanie na Węgrzech spokój, gdy władza spocznie w rękach opozycyi. W numerze niniejszym podajemy fotografie barona Buriana, przywódcy opozycyi i Fr. Kossutha, którzy w obecnej fazie przesilenia węgierskiego odegrali najwybitniejszą rolę.



Przesilenie na Węgrzech: Fr. Kossut, przywódca opozycyi.



Zamach dynamitowy w Tenczynku: Pokój, który odniósł największe uszkodzenia.



O dwa Miliony

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

2 (Ciąg dalszy).

W mgnieniu oka wartownik znalazł się na ziemi, podniósł dwa palce do warg i odpowiedział również świstem. Potem rzucił się nagle, przyłożył ucho do ziemi i począł słuchać. W dwie sekundy później doleciał go głuchy huk, cichy i przytłumiony, jakby daleki, podziemny huk dział, wydobywający się przemocą z podziemi, a nie dość silny, aby przebić jej powierzchnię. Tylko wtajemniczony wartownik zrozumiał detonacyę. Naokół panowała, jak dawniej, cisza, a policyant, który właśnie obok narożnika przechodził, gwizdał sobie najspokojniej jakąś piosenkę i nie przeczuwając nic złego, szedł dalej.

Zaledwie jednak znikł na zakręcie, wartownik powstał, zatarł ręce z radości i wybuchnął cichym, szyderczym śmiechem. Nie było wątpliwości, dzieło było spełnione. Bill Crookey, stosownie do najnowszych zdobyczy dostojnego cechu włamywaczy, otworzył kasę bankową „cicho i bez najmniejszego szelestu“.

II.

Kiedy urzędnicy wielkiego banku pod firmą Robert S Vanderhook, znajdującego się na rogu Broodway i Avenue zgromadzili się o godzinie dziewiątej rano przed bramą, aby w oznaczonym czasie przestąpić progi tej świątyni mamony, nikt nie przypuszczał, że w banku zaszły przez noc rzeczy, które wpłynąć miały w wysokim stopniu na normalny bieg rzeczy. Na pozór wszystko było w należytym porządku. Dopiero kiedy powiernik szefa i najstarszy w banku urzędnik, mister Zygmunt, wszedł do „sanctuarium“, t. j. do pokoju, w którem się znajdowała kasa, i zobaczył, co się tam stało, omal że nie padł trupem na progu. Pierwsze jego spojrzenie padło na wielką kasę bezpieczeństwa, zaopatrzoną we wszelkie możliwe i niemożliwe aparaty, elektryczne dzwonki, kunsztowne zamki, do których żaden złodziej klucza dorobić nie potrafił, kasę, uchodzącą za niemożliwą do wzięcia dla złodziei twierdzę. Mister Zygmunt był przekonany, że kasy tej nikt okraść nie potrafi. Wydawało mu się to po prostu niemożliwem. To też mister Zygmunt nie wierzył własnym oczom. Przyłożył rękę do czoła i stanął martwy z osłupienia, jak posąg. Niestety – oczy go nie zawiodły. Drzwi żelaznej kasy, do połowy wmurowanej w ścianę i uchodzącej za niemożliwą do okradzenia, były otwarte, jedna jej ściana była oderwana. Mister Zygmunt stanął bez tchu. Nagle z piersi wydarł mu się cichy okrzyk. Pobiegł w jeden kąt pokoju. Co to? Boże wielki — trup? zamordowany?! Nie, pierś jeszcze podnosiła się i opadała — a więc żył jeszcze. Był to Bob Murphy, wierny stróż nocny w banku, z którym złodzieje nie najlepiej, jak widać, się obeszli. Ze związanemi na grzbiecie rękoma, z zakneblowanemi usty, leżał biedak na kamiennej posadzce i tylko poruszanie się piersi zdradzało, że jeszcze żywie, że jeszcze nie umarł.

Przez chwilę stał mister Zygmunt jak we śnie i patrzał na skrępowanego wartownika, potem wyprostował się, wstrząsnął parę razy sobą, jakby się dopiero ze snu przebudził i spokojnym krokiem wyszedł z pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi. Żaden z urzędników, którzy tymczasem pozajmowali zwykłe swoje miejsca, nie wyczytałby w jego twarzy nic nadzwyczajnego; oblicze jego było zimne, spokojne, niezbadane, jak zawsze. Dopiero kiedy wszedł do pokoju, w którym znajdował się telefon, zamknął za sobą drzwi i znów pozostał sam, rzucił się formalnie na aparat, gorączkowo pocisnął guzik, poczem, drżąc na całem ciele, wziął do rąk słuchawki i schylił się ku tubie. Ciche dzwonienie — poczem mister Zygmunt rzekł:

— Czy mister Vanderhook senior w biurze?.... Nie?... To zawołaj go pan jak najprędzej... Tu mister Zygmunt, muszę z nim w tej chwili mówić... Dobrze... Czekam...

Po krótkiej pauzie odezwał się znów dzwonek i mister Zygmunt, jeszcze bledszy niż poprzednio, pochylił się nad tubą. „Dzień dobry, sir... Bardzo mi przyjemnie... Przykro mi, żałuję bardzo, ale... niema co ukrywać... Do naszej kasy włamali się złodzieje... na Boga, przybądź pan tu jak najprędzej, wielka kasa bezpieczeństwa rozbita... co?... Zdaje się, że brakuje gotówki w papierach... przeszło dwa miliony dolarów... Bezwarunkowo nie, sir, on jest tutaj. Znalazłem go skrępowanego powrozami, z zakneblowanemi usty, leżącego bez życia na podłodze... Tak, tak... Koniec“. Trzy dzwonienia i mister Zygmunt nerwowym ruchem nacisnął inny guzik. „Tu Robert S. Vanderhook, bank, Broodway i róg Avenue... Wielka kradzież z włamaniem... Kasa bezpieczeństwa rozbita... Dwa miliony... Co? Do tej chwili jeszcze nie... właśnieśmy się teraz dowiedzieli... proszę o natychmiastowe przysłanie detektywów... Koniec“.

Jeszcze słychać było w pokoju ostatnie dzwonienie po skończonej rozmowie, kiedy mister Zygmunt odszedł od aparatu i otarł z czoła sączący się obficie pot. Dwie sekundy czasu potrzebował, aby się uspokoić, poczem wszedł do głównego biura, jednemu z urzędników kazał otworzyć listy, a sam udał się miarowym krokiem do kasy, której drzwi jednakże napowrót zamknął.

Bob Murphy, wartownik, leżał dalej na ziemi z szeroko otwartemi oczyma, utkwionymi w sufície. Kiedy wszedł mister Zygmunt, poruszył się gorączkowo, patrzał wokół błędnym wzrokiem i wydawał z siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki, gdyż z powodu knebla, jaki mu złodzieje wpakowali w usta, nie mógł mówić. Mister Zygmunt przyklęknął, po zwycięzeniu kilku trudności wydobył mu sukno z ust i pomógł mu się podnieść.

— Zachowujcie się spokojnie — rzekł doń — to, co się tu stało, musi pozostać tajemnicą, dopóki nie nadejdzie szef i zawiadomiona już o wypadku policya.

Bob Murphy patrzał na niego skamieniałym wzrokiem.

— Wytłómacz mi, sir, co się ze mną stało — szeptał. — Czy ja spałem? Członki moje są stężałe i zimne — głowa mnie boli, a — hm — na polu jasny dzień. To ciekawe. Czy pan coś mówił o jakiemś nieszczęściu i o policyi — ah! — w tej chwili zdało się, że odzyskał świadomość — dzisiaj w nocy, odchodzę od zmysłów — była straszliwa eksplozya — —

— Cicho! Milczcie teraz i starajcie się zebrać myśli — przerwał mu mister Zygmunt, sadzając go na krześle — rozpatrzcie się po pokoju i przypomnijcie sobie, co tu zaszło. Mister Vanderhook będzie tu za chwilkę.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam? — zapytał mister Zygmunt.

— Mister Vanderhook — usłyszał odpowiedź i odemknął.

Do pokoju weszli trzej panowie, naprzód szpakowaty już szef, mister Vanderhook, dalej dwaj dżentelmeni o marsowym wyglądzie. Jeden z nich zatrzymał się u progu, podczas gdy drugi pobiegł razem z szefem wprost ku rozbitej kasie.

— Gdzie jest pański zastępca? — spytał obcy.

— Jestem — rzekł mister Zygmunt, wysuwając się naprzód.

— Bardzo mi miło, że pana spotykam, sir. Jestem kapitanem policyi w tym obwodzie, a to mój kolega, sierżant Cool, detektyw. Niech mi pan odrazu powie, co pan o tem sądzi, jakie pan ma przypuszczenia i podejrzenia, bo czas w tym wypadku jest drogi.

— Mogę panu powiedzieć jedynie to, co widziałem. Wchodząc o godzinie dziewiątej rano, a więc przed pół godziną do biura, znalazłem kasę rozbitą. Obecnie wszystko znajduje się w tym stanie, jak przy moim wejściu. Stróż, związany i zakneblowanemi usty leżał tam w kącie, pod oknem...

— A — gdzież jest ten człowiek?

— Tutaj, sir, za panem. Czyście się już opamiętali, Murphy? — rzekł, zwracając się do stróża.

— Tak, panie, oprzytomniałem już i mogę wszystko opowiedzieć i jasno wyłożyć, jak na dłoni — odpowiedział Murphy, wstając z krzesła i występując przed policystę.

Ten ostatni badawczym wzrokiem zmierzył silną, podsadkowatą postać około trzydziestoletniego mężczyzny i zwrócił się jeszcze raz do mister Zygmunta.

— Niech pan z łaski swojej zbada dokładnie zawartość kasy i obliczy dokładnie, co panom skradziono. Ja tymczasem przesłucham stróża.

Powiedziawszy to, usiadł, skinieniem przywołał ku sobie sierżanta i wyjął z kieszeni notatnik.

— Jak się nazywacie?

— Bob Murphy, sir — odpowiedział stróż.
— Pochodzicie z Irlandyi?
— Urodziłem się w Dublinie, kapitanie.
— Lat?
— Trzydzieści jeden, sir.
— Dobrze, mister Murphy. Opowiedzcież nam krótko i węzłowato, co się wam dzisiaj przydarzyło.

— Chciałbym, sir, ale nie wiem czy potrafię, bo przed kwadransem jeszcze byłem przekonany, żem zwaryował. W jaki sposób oni się tu dostali, tego nie wiem...

— Kto? — zapytał ostro policysta.
— No — złodzieje.
— Ilu ich było?
— Dwóch.
— Aha, a więc trzech — mruczał kapitan, zapisując coś skrzętnie do notesu. — No, jedźcie dalej, a streszczajcie się.

— *Well*, więc, jak przyszli, tego nie wiem — dyabli to mogą wiedzieć, ale wyszli stąd, jak mi się zdaje, przez okno, chociaż nie wiem, w jaki sposób by to mogli zrobić. Znajdowałem się właśnie na dziedzińcu, była może godzina pierwsza, albo może później, gdy nagle usłyszałem jakiś podejrzany szmer. Z początku sądziłem, że pochodzi on ze schodów. Pobiegłem tam, z rewolwerem w dłoni, ale nie znalazłem nic. Wszędzie było pusto i spokojnie. Wogóle nastała cisza. Byłem więc przekonany, że to tylko optyczne złudzenie, albo coś podobnego i powróciłem do loży portyera, gdzie się zwykle w przejściu zatrzymuję.

— Hm, a nie przyszło wam do głowy, że ten szmer może pochodzić z innej części domu – wtrącił policysta.

— Tak, sir, myślałem tak rzeczywiście. Ale potem zdawało mi się, że to może był kot domowy, który czasem dostaje ataku i wędruje po schodach, polując na myszy.

— Tak, kot. Sądzę więc, że uważaliście ten szmer po prostu za złudzenie.

Bob Murphy patrzał przez chwilę jak głupi na policyanta. Uważał to za nierozumne przypuszczenie, żeby urzędnik szukał w jego zeznaniu sprzeczności.

— Co ja mówię, to prawda, święta jak biblia, sir — odparł urażony — w pierwszej chwili uważałem ten stuk za złudzenie.

— Więc to był stuk? — dobrze, mówcie dalej.

— O kasie dusza moja nie pomyślała, stamtąd poprostu stuk ten pochodzić nie mógł. Wszystkie szafy są opatrzone dzwonkami elektrycznymi, sama wielka kasa ma ich pięć, a nawet najlżejsze poruszenie jakiegoś przedmiotu na ścianie powoduje w całym domu prawdziwy potop dzwonienia, coś podobnego, jak kiedy wodę wpuszczają do doków. A więc o kasie, o tym właśnie pokoju, nie myślałem, nie mogłem nawet myśleć.

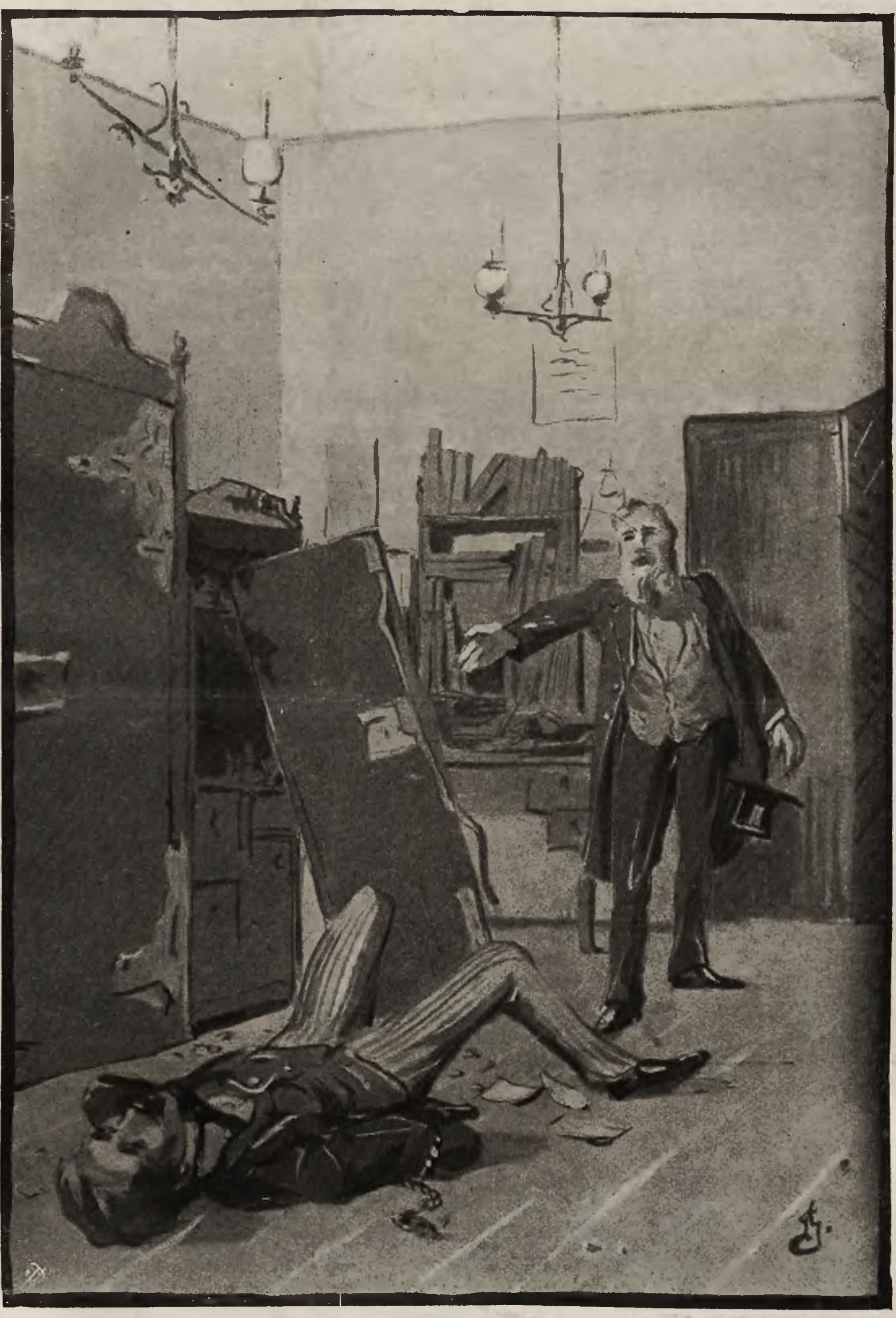
— Możeście mieli racyę — wtrącił kapitan — ale przystąpcie do rzeczy i streszczajcie się.

— Ja już prawie kończę, sir; to, co teraz nastąpiło, da się opowiedzieć w kilku słowach. Zaledwie tedy wszedłem do loży portyera, kiedy doleciał mnie znowu szmer, który, jak teraz przypuszczałem, pochodził rzeczywiście z pokoju kasowego. Jak więc można najciszej i najprędzej, pobiegłem przez główne biura, aby stamtąd zaglądnąć do kasy. I tak uczyniłem, ale nie zobaczyłem nic, jak mi Bóg miły, nic, chociaż szmer trwał dalej. Cóż miałem zrobić? *Well*, przeżegnałem się krzyżem świętym, westchnąłem: Jezus, Marya, Józef, i trzymając przed sobą, o tak, widzi pan kapitan? — rewolwer w ręce, przestąpiłem próg tego pokoju. W tej chwili spostrzegłem dwóch ludzi, jednego wysokiego, drugiego niskiego — tego ostatniego z całym pękiem najrozmaitszych instrumentów i z latarnią, która stała obok niego na ziemi, drugiego z długim, paskudnym sztyletem, którym się odrazu na mnie zamierzył. *„Be uit, you da net fool* — wołał on — zachowaj się spokojnie, przeklęty durniu, bo w przeciwnym razie ten sztylet w piersi wpakuję!" Coś takiego krzyczał, kiedym się w drzwiach tego pokoju ukazał, ale w tej chwili pociągnąłem już cyngiel..

Kapitan machnął ręką w ten sposób, jak żeby chciał tym ruchem przeciąć mowę stróża, który umilkł natychmiast.

— Jakto? więc strzelaliście do niego? — zapytał niedowierzająco.

— *Jou bet, i hawe* — odrzekł Murphy, dumnie podnosząc głowę. — Możesz się pan założyć, że strzelałem, ale go nie trafiłem. Kula musi tu gdzieś tkwić w ścianie. I to było wszystko, co mogłem zrobić, bo w tejże chwili ten piekielnik porwał mnie za piersi, jak kawałek bydlęcia rzucił na ziemię i począł to moje biedne ciało okładać pięściami, używając i nóg do pomocy. Jak długo mnie tak obrabiał, nie wiem, sądzę, żem musiał zemdleć. Bo kiedy na nowo otworzyłem oczy, leżałem na grzbiecie ze skrępowanemi pod sobą rękoma, mając w gębie grube sukno, tak, że nie mogłem krzyczeć. Oba draby pracowali koło tej wielkiej kasy; jeden trzymał latarnię, a drugi, jak mi się zdaje, wiercił świderkiem żelazo. Trwało to dobre dziesięć minut. Potem odsunęli się obaj od kasy, śmiejąc się, kazali mi wytężyć uszy, mówiąc, że wkrótce nastąpi kapitalna uczta dla moich bębenków i zapalili jakąś nić — lont, czy jak to tam nazywają takie rzeczy — którą dopiero teraz spostrzegłem. Ten gałgan tlił się przez chwilę, potem nastąpił grzmot, że zdawało mi się, iż cały gmach rozleci się na drobne kawałki. Drżąc z trwogi, zamknąłem oczy i oczekiwałem śmierci, bo, niech to dyabli wezmą, byłem pewny, że mnie te draby nie pozostawią żywym. Nie zrobili czegoś podobnego – ale też nie wiem wogóle, co potem zrobili.



...i tylko poruszanie się piersi zdradzało, że jeszcze żywie, że jeszcze nie umarł.

bo, możecie mi to wziąć za złe lub nie, oczy miałem już zamknięte i nie chciałem nic ani widzieć, ani słyszeć. Później musiałem usnąć, a może mnie też szubrawcy w jakiś sposób ogłuszyli, dość, że kiedym się obudził, był już jasny dzień, a przedemną stał mister Zygmunt; to wszystko. A teraz panowie, dajcie mi się napić coś ciepłego, bo jestem ogromnie osłabiony i pozwólcie mi się przejść odrobinę po pokoju, bo moje członki są jeszcze sztywne i zimne. Sądzę też, a przynajmniej mi się tak zdaje, że w mojej maszynie jadalnej nie wszystko jest w porządku, przynajmniej jest w niej tak sucho, jakgdybym nigdy podniebienia mego nie zwilżał.

Stróż umilkł, otrząsnął się z zimna, mlasnął parę razy wyschniętym językiem i począł sobie rozcierać ręce. Wogóle przedstawiał obraz nędzy. Urzędnik policyjny milcząc patrzył w ziemię, potem wzruszył ramionami i zwrócił się do mister Zygmunta.

— No, panie, jakiż rezultat?

— Szczególny, ogromnie ciekawy rezultat — odpowiedział zapytany, a w twarzy jego widać było najwyższe zdumienie. — Brakuje tylko jednej rzeczy: teczki z gotówką w papierach, zawierającej dwa miliony dolarów. Ale wszystko inne jest nienaruszone, nawet kasetki ze złotem nietknięte, tutaj woreczek ze srebrną monetą, nie brak nic, prócz teczki z dwoma milionami. Odchodzę od zmysłów, nie wiem, co mam z tego sądzić; co pan na to, kapitanie, czy się panu kiedy coś podobnego zdarzyło?

Kapitan nie odrzekł nic. Nic też nie można było wyczytać z jego twarzy. Oglądnął się tylko za sierżantem, poczem poczem skinął na szefa banku.

— Słówko, mister Vanderhook! Co pan sądzi o tym człowieku? — zapytał, wskazując na Boba Murphy.

— Nic złego – odrzekł stary pan stanowczo. – Służy on u mnie już trzeci rok i jest wzorem wierności i posłuszeństwa. W pierwszych miesiącach niejednokrotnie brałem go na spytki, ale on tego nigdy nie zauważył. O, ja go znam, znam jego wierność, jego stosunki, on jest *all right*, biedny chłopak.

— Ma pan racyę — odpowiedział urzędnik — nie można go podejrzywać. Niech on tu jednakże jeszcze zostanie, muszę go jeszcze raz przesłuchać. Zechce się pan, mister — ach, zapomniałem godności — prawda, mister Zygmunt, dziękuję, czy nie zechciałbyś się zająć, aby temu człowiekowi podano szklankę ciepłego napoju? Potrzebuje tego. A teraz, przepraszam panów, musimy obaj z moim kolegą zabrać się do rzeczy.

Z temi słowy zwrócili się obaj urzędnicy do wielkiego, opatrzonego grubemi żelaznemi okiennicami okna. Na pozór ono to było nietknięte. Kiedy jednak sierżant począł badać ścianę, zauważył, że na rogu okna poruszyła się tapeta. Podniósł ją więc, opukał kamienie w murze i powrócił z rozpromienioną twarzą. Dwie warstwy kamieni, szerokości może czterech rąk, były ustawione wolno jeden na drugim, tak, że złodzieje, wyjąwszy je, mogli wywiercić głęboką dziurę, przez którą wygodnie mógł się jeden człowiek przecisnąć. Krytycznej nocy złodzieje wyjęli poprostu kamienie, przedarli tapetę i przejście było gotowe.

Obaj urzędnicy patrzeli na siebie, porozumiewając się oczyma.

— Otóż jest nitka Aryadny — szepnął detektyw.

— Ba, ale dokąd ona nas zaprowadzi? — odparł kapitan również przyciszonym głosem.

— Tak, tak — ozwał się nagle detektyw — jedno jest pewnem, że nie zrobiono tego w ciągu jednej nocy. To niemożliwe. Nad tem musiano długo i starannie pracować.

Teraz zwrócili się obaj urzędnicy do tak zwanej „wielkiej kasy bezpieczeństwa", która przedstawiała politowania godny widok. Idące od niej we wszystkich kierunkach druty elektryczne były poprzerywane i zwieszały się ze ścian, drzwi były szeroko otwarte, silne, stalowe zamki były zgniecione i połamane w kawałki, jakgdyby je jakaś olbrzymia ręka potężnym ciosem zmiażdżyła; posadzka cała zasłaną była kamieniami i odłamkami żelaza. Wśród tego śmietnika kamieni, żelaza, piasku i wapna leżał zwinięty w rulon szmat sukna, popalona resztka z niebieskiej koszuli wełnianej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. ks. Zenon Kiryłowicz.
Swięta wielkanocne u Rusinów: Zabawa wielkanocna, t. zw. „Haiwki", obok cerkwi w Jaworowie.

Święta wielkanocne u Rusinów.

Zwyczaje i obrzędy rozmaite wśród ludu, przechowywane z zabobonną wiarą, zawierają w sobie tyle poezyi, tyle jakiejś dziwnej mocy rozmarzania, że zawsze przyglądamy im się z przyjemnością, a co więcej, niejednokrotnie żałujemy, że my ludzie kulturni, nie mamy już tej pogody ducha, tej słoneczności w duszach, którąby nam pozwalała zapominać o twardem i ciężkiem życiu, ale z każdem świętem radosnem cieszyć się, z każdą smutną rocznicą smucić się. Na wsiach, w zapadłych miejscowościach, gdzie zdawałoby się, że bieda i nędza uczyniła tam z ludzi ociężałych, osowiałych melancholików, odbywają się nieraz zabawy, uroczystości, pełne poezyi. Ludzie się cieszą, skaczą, radują, chociaż może w domu nie ma co jeść.

Do takich radosnych obchodów nastręczają sposobność przedewszystkiem święta wielkanocne. Zarówno u ludu polskiego, jak i ruskiego, święta te bywają obchodzone nadzwyczaj uroczyście. Kościół się raduje i radują się tysiące tych maluczkich, dla których Kościół nie przestał być matką, dla których religia nie jest wypełnianiem obowiązku, ale potrzebą serca.

Przedewszystkiem święta te są nadzwyczaj poetyczne. Bije z nich jakieś dziwne ciepło uczucia, prostoty, szczęści wiary głębokiej. Zwyczaje do świąt wielkanocnych przywiązane są również podniosłe, a podniosłe swoją prostotą i pierwotnością. Te święcenia jadła i napoju w sobotę wielkanocną, ta uroczysta procesya rezurekcyjna, posuwająca się wśród śpiewu i blasku gorejących świec, przy odgłosie wystrzałów moździerzowych, to wszystko nastraja duszę i podnosi ją w górę, ku niebu.

Niemniej uroczyście jak u ludu polskiego obchodzone bywają święta wielkanocne u Rusinów. Obrzędy tam i zwyczaje prawie te same, temsamem tchnące ciepłem i radością.

Jaworów miasteczko liczące nad 10.000 mieszkańców wraz z przedmieściami jest siedzibą starostwa, i leży nad rzeczką „Szkło". jaka w samem mieście tworzy ogromny staw. Jest to dość schludna i przyjemna mieścina, chociaż lud niezamożny bo nie mając wiele roli, żyje przeważnie z wyrabiania łyżek drewnianych, kołotuszek, wrzecion wózeczków dla dzieci i innych zabawek, jakie rozwozi do pobliskich miast, a przedewszystkiem do Lwowa. oddalonego o 6 mil.

Do niedawna nie dawało to miasto żadnego znaku o sobie, chociaż prowadziły doń gościńce i dobre drogi. Od chwili dopiero ustawienia szyn kolejowych na tych „sławnych piaskach Jaworowskich i Janowskich", to jest od chwili połączenia z Lwowem, zaczyna miasto podnosić się i nabierać polotu europejskiego.

Do ważnych przedmieść Jaworowa należy t. zw. „Małe przedmieście".

W pamięci ludu tego przedmieścia, doskonale przechowuje się historya o królu Janie III Sobieskim. Miał on tam swój zamek myśliwski i wiele służby. Powiadają, że gdzie dzisiejsze probostwo, mieszkali dawniej dworzanie jego, którzy w czasie napadu Turków na Lwów (1674) pochowali wielkie skarby królewskie do chodnika podziemnego, jaki się znajduje zaraz obok cerkwi i plebanii. Chodnik ten jest sklepiony z cegieł, bardzo dobrze utrzymany, wysoki na trzy metry, a długi, o ile widać, na kilkanaście sążni. Po obu jego ścianach są framugi, jak gdyby na beczki z winem. Ma on prowadzić po pod dno stawu, aż do wysepki po drugiej stronie stawu, na której mieścił się pawilon dla zabawy ówczesnej szlachty.

Cerkiew również z tych czasów, chociaż z dębowego drzewa jednak chyli się się już do upadku. W dzisiejszym znów „dworze" pozostała jeszcze jedna tylko sala, którą zachowują jako drogą pamiątkę.



Fot. ks. Zenon Kiryłowicz.
Święta wielkanocne u Rusinów: Cerkiew w Jaworowie na małem przedmieściu, obok której znachodzi się murowany podziemny chodnik z czasów króla Jana Sobieskiego

Małomieszczanie wiedzą również dobrze, że król Jan III tańczył na weselu z kowalową i są dumni do dziś dnia z tego, bo kowalowa ta, była właśnie z „małego przedmieścia".

Miejsce, gdzie odbywało się wesele, każde nawet dziecko pokaże.

W numerze tym podajemy trzy fotografie ze świąt wielkanocnych obchodzonych w Jaworowie, we wschodniej Galicyi. Na jednej rycinie widzimy święcenie jadła, tak zwanej „paski", na drugiej wesołą zabawę wielkanocną, tak zwane „haiwki". Na trzeciej zaś widać cerkiew w Jaworowie ze słynnym owym podziemnym chodnikiem obok. — Ciekawe te obrazki z życia naszego ludu, nadesłał nam jeden z przyjaciół naszego pisma w Kołomyi.



Fot. ks. Zenon Kiryłowicz.
Święta wielkanocne u Rusinów: Święcenie „paski" w Jaworowie na Małem przedmieściu.

Pościg nadgranicznych opryszków.

Na pograniczu zbierają się zwykle wszystkie szumowiny i wyrzutki społeczeństwa, którym obrzydł pracy chleb powszedni, którzy w mętnych źródłach szukają niedozwolonego, a lukratywnego zarobku. Tu mają rendez-vous przemytnicy, handlarze żywego towaru i zwyczajni złodzieje i rabusie cudzej własności.

Dzięki sprężystości i odwadze dzielnego komisarza policyi w Oświęcimiu, znanego już zresztą naszym Czytelnikom Stanisława Krzyżanowskiego, wyśledzono i przytrzymano niedawno temu kilku złoczyńców, którzy nie zawahali się uciec do gwałtu, aby tylko przyjść w posiadanie cudzej własności.

A rzecz się tak miała:

Dzierżawca restauracyi stacyjnej, niejaki Heller, człowiek zamożny, wracał onegdaj około 10-tej godziny z dworca do domu w towarzystwie żony, napadło go niespodzianie, już w pobliżu domu, trzech ludzi i powaliwszy kilkoma uderzeniami na ziemię, poczęli mu wydzierać pieniądze. A miał ich Heller tego dnia sporo przy sobie, bo około 2000 kor. w banknotach, oraz 256 kor. i 44 marek pruskich srebrem. Ale przemoc była po stronie napastników, więc torebka ze srebrem znalazła się w jednej chwili w ich rękach, a za moment byłby ten sam los spotkał i pugilares, gdyby nie rozpaczliwy krzyk żony napadniętego.

Heller, wyrwawszy się z rąk duszących go rzezimieszków, udał się natychmiast na inspekcyę policyi do p. St. Krzyżanowskiego z doniesieniem o dokonanym na osobie jego napadzie. Ten zarządził natychmiast energiczny pościg za rabusiami i przyszedł do przekonania, że sprawcy napadu umknęli niewątpliwie przez granicę, aby tam spokojnie podzielić się zdobyczą. Wobec tego wyprawił bezwłocznie dwu żandarmów gościńcem do Nowego Bierunia t. j. pierwszej miejscowości po stronie pruskiej, sam zaś udał się tam w towarzystwie ajenta najbliższym pociągiem. Przybył w samą porę, aby zobaczyć, że wśród pasażerów, wsiadających w Nowym Bieruniu do tego samego pociągu (idącego dalej przez Wielki Chełm do Mysłowic) znajdnje się dwu, na robotników wyglądających, ludzi, z których jeden, olbrzymi wzrostem, miał nieproporcyonalnie mały, widocznie cudzy kapelusz na głowie. Nie mając zresztą innych poszlak, a idąc jedynie za głosem wewnętrznego przekonania, postanowił energiczny komisarz zaryzykować i przytrzymać obu nieznajomych. Tak też uczynił, jednakowoż jeden z mniemanych robotników wyrwał się i zbiegł w pobliskie pola, drugiego zaś udało się dopiero po wielu trudach aresztować. Przybył wezwany żandarm pruski i przy jego interwencyi dokonano osobistej rewizyi rzezimieszka, a rewizya ta dała nadspodziewany rezultat. Znaleziono nietkniętych 256 koron wraz z woreczkiem, wobec czego aresztowany przyznał się do winy i podał nawet jednego ze swych wspólników.

Wobec tego, że komisarz policyi, wyjeżdżając do Nowego Bierunia, aresztował już na dworcu w Oświęcimiu pewne podejrzane indywiduum (jak się później okazało, nietylko wspólnika, ale nawet herszta szajki), a równocześnie przytrzymano w mieście jeszcze jednego, o współudział podejrzanego człowieka, znalazło się już w trzy godziny po wypadku trzech uczestników napadu pod kluczem.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy złoczyńcy, korzystając z ciemności nocy, rzucają się na swoją ofiarę Hellera, który w śmiertelnych zapasach z napastnikami broni swojej własności.



Pościg nadgranicznych opryszków: Rabusie napadają na bezbronnego Hellera.

Najstarszy dorożkarz krakowski.



Najstarszy dorożkarz w Krakowie: Józef Bezdek, który w tym roku obchodzi 50-letni jubileusz swej pracy zawodowej.

Z jednym z najstarszych fiakrów krakowskich, z jubilatem, który w tym roku obchodził 50-letni jubileusz zawodowy — chcemy Szan. Czytelnika zapoznać. W zakładzie remiz i dorożek p. Żeglikowskiego w Krakowie przy ul. Karmelickiej pozostaje od pół wieku w służbie sędziwy fiakier Józef Bezdek, a zaiste spędził on życie nietylko na koźle i z biczem w ręku! Urodzony w 1838 roku w Brzesku, wstąpił on we wczesnej młodości w szeregi obrońców Ojczyzny. Służył mianowicie w 1863 r. w partyzanckich oddziałach Kruka i Wierzbickiego w lubelskiem. Był w ogniu w zwycięskich dla nas bitwach pod Poniechną, Chrośliną i Końską Wolą, gdzie naszym udało się rozgromić moskali i zatopić armaty wroga.

W potyczce na Podrybim został Wierzbicki ciężko ranny, a w bitwach pod Bolesławicami i Biskupicami zostali powstańcy ostatecznie przez jenerała rosyjskiego Chraszczewa pobici i rozproszeni. Część partyzantów, a między nimi także jubilat nasz, Bezdek, usiłowała szukać ocalenia na terytoryum austryackiem. Około Radomyśla nad Białym Sanem zostali jednak przez miejscowe władze wojskowe aresztowani. Bezdek, którego los dzieliło 36 towarzyszów broni, chory i sponiewierany, odstawiony został na razie do szpitala w Tarnowie. Dzięki szlachetnej interwencyi ks. Pawła Sanguszki wszystkim więźniom stanu, pozostającym zarówno w inkwizycie jak i w szpitalu, została wolność powrócona. Józef Bezdek wraca więc w roku 1864 do Krakowa i od razu wstąpił do służby jako dorożkarz do zakładu fiakierskiego ś. p. Antoniego Żeglikowskiego ojca obecnego właściciela remizy. Odtąd nieprzerwanie pełni już służbę na koźle, a po śmierci pierwszego swego pana przeszedł wraz z końmi i dorożkami pod rozkazy następcy, syna nieboszczyka.

Pan Józef ma nadzwyczaj sympatyczny i ujmujący wygląd i umie też niejedno z chlubnej swej przeszłości opowiadać. W roku 1864 po wyjściu z więzienia ożenił się w Krakowie, a małżeństwo jego pobłogosławione zostało aż 10 potomkami. Z tych 5-ro żyje dotychczas — wszyscy już zaopatrzeni jak sam jubilat powiada; choć w uciążliwym fachu nie dorobił się niczego, i jest zupełnie biednym człowiekiem, nie narzeka na swoje losy i dziękuje Bogu, że pozwolił mu spełnić obowiązki względem Ojczyzny i własnej rodziny. Józef Bezdek, którego portret w niniejszym numerze podajemy, jest jednym z owych niewielu — ginących dziś już typów, zacnego patryotycznego mieszczanina, którym Kraków z dumą poszczycić się może.



Najstarszy dorożkarz w Krakowie: Józef Bezdek, najstarszy dorożkarz w Krakowie, na swej dorożce.

Ze świata

Sprawa ks. Ludwiki Koburskiej. — Zdrowa osoba przymusowo siedzi przez 6 lat w zakładzie dla obłąkanych. — Opinia publiczna wobec tej sprawy. — Felieton Saltena. Kara cielesna na brutalnych mężów. — Ks. Jaime o generale Liniewiczu. Nieco o wyborach. — Nowi radcy miejscy. — Koncert na podworcu.

Sprawa ks. Ludwiki Koburskiej weszła w nową fazę. Paryscy psychiatrzy, dr. Dubinson i dr. Magnan, wyznaczeni przez francuski trybunał sądowy do zbadania jej umysłowego stanu, wydali orzeczenie, że ks. Ludwika jest umysłowo i fizycznie zdrową i że zbytecznem byłoby oddawanie jej do jakiegokolwiek zakładu leczniczego. Ale czy to było potrzebnem przed 6 laty? Z jakiego powodu trzymano ks. Ludwikę przez 6 lat w sposób przymusowy w Coswig, w zakładzie leczniczym dra Piersona? Czy ją dr. Pierson wyleczył? Wcale nie. Wszakże dr. Pierson słowem i piórem zapewniał już po ucieczce ks. Ludwiki z jego sławetnego zakładu, że ks. Ludwika jest chorą umysłowo i to nieuleczalnie chorą na postępowe upośledzenie umysłu. I nagle wyzdrowiała w Paryżu, ba — nietylko wyzdrowiała, nietylko odzyskała siły umysłowe, ale nawet, jak to urzędownie stwierdzili psychiatrzy paryscy, posiada wyższy poziom inteligencyi.

Wobec tego zdziwienie musi ogarnąć każdego, kto sobie przypomni, że cały szereg niemieckich psychiatrów w Austryi ze słynnym Krafft-Ebingiem, profesorem uniwersytetu wiedeńskiego na czele, po kolei orzekał, że ks. Ludwika jest umysłowo chorą. To, co utrzymywał sławetny dr. Pierson, nie ma żadnego znaczenia, dzisiaj bowiem dzienniki zarzucają mu wprost, że dla miłego grosza stał się wspólnikiem ks. Filipa Koburskiego, męża ks. Ludwiki i jej kata. Ale co myśleć o psychiatrach, którzy widzieli w ks. Luizie obłąkaną? Jaka szkoda, że profesor Krafft-Ebing umarł! Dzisiaj, wobec orzeczenia lekarzy paryskich możeby się musiał odezwać w interesie swojej powagi naukowej. Dlaczego milczą inni psychiatrzy, którzy również badali stan umysłowy ks. Ludwiki i orzekli, że jest waryatką, trudno pojąć. Wszak orzeczenie paryskich lekarzy jest dla nich wyrokiem potępienia.

A w sprawę tę, obok ks. Filipa Koburskiego prócz psychiatrów są jeszcze wmieszani adwokaci, jak znany dr. Bachrach, adwokat księcia Filipa i dr. Feistmantel, kurator ks. Ludwiki i prezydent wiedeńskiej Izby adwokackiej. Feliks Salten, znany felietonista, w wiedeńskim dzienniku „Die Zeit“ omawiając sprawę ks. Ludwiki, pisze pomiędzy innemi:

„Psychiatrzy wsadzili zdrową osobę do zakładu dla obłąkanych, adwokaci zdradzili i zaprzedali niedoświadczoną, zapłacony dyrektor zakładu pełnił obowiązki dozorcy więzienia. Cały ten wypadek cudem dostał się na światło dzienne. W dodatku powiadają, że były porucznik Mattasicz niewinnie siedział we więzieniu. Od szeregu lat mówiono, że ks. Ludwika jest umysłowo zdrową, jak każdy normalny człowiek. Przed kilku dniami potwierdzili to rzeczoznawcy. I co się dzieje? Nic. Księżna cieszyć się powinna, że jej napowrót nie zamkną. Wzięła sobie do pomocy adwokata godnego zaufania i na tem koniec. Poczucie prawne publiczności jest dostatecznie stępione, jest zakażone widokiem niesprawiedliwości również dostatecznie, ażeby nad zbrodnią, trwającą przez sześć lat przejść do porządku dziennego. Zdrowy popęd do sprawiedliwości tak osłabł, że ludzie nie chcą wziąć klucza, którym jest sprawa ks. Ludwiki, ażeby otworzyć zakłady dla obłąkanych, tudzież więzienia i rozpatrzeć się w nich. I sprawa ta ma być załatwioną? Prawdopodobnie. A przecież byłoby to pięknie, gdyby świadomość publiczna odezwała się głośno i namiętnie zawołała o zadośćuczynienie z powodu zdeptanej sprawiedliwości“.

Tak się dotąd nie stało i z pewnością w przyszłości nie stanie. Wszyscy wyjdą z tej afery cało, a w umysłach i sercach, wrażliwych na bezprawie, pozostanie smutne przeświadczenie, że jednak w Austryi nie ma równości w obliczu prawa. Gdyby podobny wypadek zdarzył się w Anglii, albo we Francyi, opinia publiczna z pewnością zażądałaby zadosyćuczynienia bez względu na osoby, w Austryi pod wielu względami panują jeszcze średniowieczne stosunki.



Julian Kratochwil.

Amerykanie podobne sprawy załatwiają szybko i gruntownie, tworząc odpowiednie ustawy. I tak niedawno parlament prowincyonalny stanu Oregon, który należy do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, uchwalił nową ustawę przeciwko mężom, którzy wobec swoich żon zachowują się brutalnie. Prawodawcy oregońscy postąpili bardzo energicznie, uchwalona bowiem ustawa zawiera pomiędzy innemi przepis, że brutalny małżonek, który żonę czynnie znieważy, otrzyma 20 kijów. Po teoryi nastąpiła wkrótce praktyka. Jak donoszą dzienniki amerykańskie, przed kilkunastu dniami pewnego męża, który pobił swoją żonę, sąd skazał na karę chłosty i kazał ją zaraz wykonać w celi więziennej. Amerykanie powiadają, że do przekonania pewnych ludzi można trafić tylko za pomocą kija.

Korzystając z zupełnej wolności wybierania tematów, pomówię teraz nieco o wojnie, wcale się zresztą nie mieszając do spraw, które w dziale wojennym obrabia inny współpracownik „Nowości“. Otóż do Wiednia przybył Ks. Don Jaime burboński, syn pretendenta do korony hiszpańskiej, Don Carlosa, a szwagier austryackiego arcyksięcia Leopolda Salwatora. Jak wiadomo, ks. Jaime jest rotmistrzem w armii rosyjskiej i należy do grodzieńskiego pułku huzarów, a w wojnie przeciwko Japonii brał czynny udział aż do bitwy pod Liaojangiem, poczem z powodu choroby otrzymał urlop i powrócił do Europy, do Wiednia, a przybył przed kilku dniami i oczywiście musiał przyjmować ciekawych dziennikarzy. Jednemu z redaktorów „Neues Wiener Tagblattu“ opowiadał ks. Jaime o generale Liniewiczu, który obecnie jest głównym dowódcą wojsk rosyjskich na Dalekim Wschodzie.

Ks. Jaime z entuzyazmem wyraża się o Liniewiczu. „Służyłem pod jego rozkazami — opowiadał książe — już w r. 1900 podczas pochodu na Pekin. W rosyjskiej armii jest mało generałów, którzyby się taką popularnością pośród żołnierzy cieszyli, jak generał Liniewicz. Jest ideałem żołnierza: energiczny, waleczny, przezorny, wyznawca ofenzywy. Całą nadzieję wszyscy w nim pokładają. Czy nie zapóźno powierzono mu obecne stanowisko, to jest pytanie, którego jako żołnierz nie mogę roztrząsać“. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że Liniewicz jest polskiego pochodzenia.

Pogadajmy naostatek nieco o Krakowie. Skończyły się nareszcie wybory do Rady miejskiej i opinia publiczna znowu powróciła do codziennego życia. Jedni są z wyborów zadowoleni, drudzy upatrują w nich same ujemne strony, a na palcach możnaby zliczyć tych, którzy patrzą na nie objektywnie. Nie będę już mówić o wyborach, które należą do przeszłości, ale jako stojący zdaleka od agitacyi wyborczej, mogę wyrazić zadowolenie szerokich sfer miasta, że do Rady miejskiej należy Wyspiański. Kraków tym wyborem udowodnił, że zasługuje na miano Aten polskich. Dziennikarze znowu powinni z zadowoleniem przyjąć wybór Konopińskiego, redaktora „Nowej Reformy“. Obecnie w Radzie miejskiej zasiada trzech dziennikarzy: Bartoszewicz, Chyliński i Konopiński. Dobrze się także stało, że do Rady miejskiej wszedł pan Nowak, nauczyciel ludowy. Sprawy nauczycieli szkół ludowych będą w nim posiadać dobrego obrońcę, gdyż p. Nowak nie będzie się krępować względami na swoją osobę i występować będzie energicznie w obronie słusznych żądań nauczycieli ludowych. Stan ten, tak pożyteczny dla społeczeństwa, jest u nas niezaprzeczenie zbyt upośledzony, życzymy więc p. Nowakowi powodzenia w Radzie miejskiej.

Chciałem jeszcze napisać o jakiejś sprawie, ale zapomniałem, co to za sprawa. Zakrzyczały mnie głośno okrzyki, pochodzące z podworca.

— Wę-ę-ę-gle! — wołał jakiś pachołek.

— Handele! Handele! — wołał jakiś żydek.

— Garnki drutować! — wtórował mu chłopak!

Równocześnie służąca trzepała dywan, chociaż to była godzina czwarta popołudniu. W Krakowie takie koncerty są na porządku dziennym.

k. e.

Julian Kratochwil.

Pan Julian, którego tu we Lwowie tak wszyscy lubimy i cenimy, chodzi sobie „tymczasem“ w ciasnych butach, czego swoją drogą nikt po nim nie poznaje. Wpakowali go gwałtem do operetki i powiedzieli mu mniej więcej: Masz, panie Julianie, głos, masz temperament, więc musisz nam tymczasem wygodzić i śpiewać w operetce... A że pan Julian Kratochwil dobry chłop i nie lubi „zadzierać się“ więc odpowiedział: dobrze — ale tylko tymczasem!

Więc „tymczasem“ jest w operetce i to nawet jako jeden z jej filarów. Bo właściwie sposobił się do dramatu, a to było tak:

Po szkole realnej — gdzieś tak mniej więcej przed dziewiętnastu laty, zaciągnął się p. Kratochwil do szkoły dramatycznej Derynga, z którym też wędrował przez rok cały. Następnie należy do rozmaitych teatrów prowincyonalnych (Linkowskich itd.) wreszcie nawet do teatru Myszkowskiego. Dotąd grywa role przeważnie seryo charakterystyczne w dramacie. Teraz — jako że to u nas artyści operetkowi są bardzo poszukiwani — Myszkowski przerabia go na operetkowca. Kiedy tak — powiada sobie pan Julian — to spróbuję się we Lwowie. I debiutuje we Lwowie przed dziewięciu laty jako Podesta w „Gasparone“ po takim Skalskim, zyskując oklaski i bardzo pochlebne recenzye. Po drugim występie (Wójt w „Dzwonach z Cornewilu“) angażują p. Kratochwila na scenę lwowską na stałe. Ciasno, bo ciasno, ale mając dobrą posadę, dobre powodzenie i mir u P. T. publiczności trzymał się pan Kratochwil operetki lwowskiej, gdzie mu było jak u Pana Boga za kaflowym piecem...

Po otwarciu nowego teatru miejskiego jedzie do Myszkowskiego do teatru w Kaliszu na rok jeden, poczem wraca do Lwowa i odtąd śpiewa tu stale. Zakres ról mniej więcej ten sam, co Myszkowskiego. Śpiewa i gra charakterystyczno-komicznych. Po Myszkowskim np. grał Zwacka w „Sztygarze“. Tylko, że teraz dawnych operetek nie wystawiają. Do ról charakterystyczno-komicznych nadaje się p. Kratochwil bardzo dobrze, gdyż ma nietylko głos dobry, ale i humor i temperament. Umie się przy tem wybornie ucharakteryzować, a że nie szarżuje, jak Myszkowski, to mu tylko jako wielką zaletę zanotować należy.

Rzecz inna, że p. Kratochwil zamierza już wkrótce wrócić do dramatu, a porzucić operetkę na zawsze. Operetka poniesie niewątpliwie dużą stratę, ale dramat może w nim zyskać dobrą siłę do ról seryo charakterystycznych. To też dyrekcya nie powinna mu stawiać przeszkód w tym względzie, a pozwolić artyście pójść tam, dokąd go ciągnie instynktowo jego talent. W operetce bowiem p. Kratochwil osiągnął już swój szczyt, podczas gdy w dramacie jest pole bardzo rozległe...

Nic jeszcze nie mógłbym dziś powiedzieć o zdolnościach tego artysty do dramatu, bo go w dramacie nie widziałem. Sądzę jednak po prozie w operetkach, wolno zgodzić się na zamiar pana Kratochwila.

Klewe.

Kącik humorystyczny.

Wujaszek: Powiedz mi, Karolu, co to jest właściwie przewartościowanie wszelkich wartości?

Siostrzeniec: Widzi wujaszek, to zapewne jest także pewien rodzaj lombardu!

*

Gospodyni: Śniło mi się, że pan zapłacił całe zaległe komorne.

Student: Doprawdy? To może zechce pani dać pokwitowanie.

*

— Znowu idziesz do teatru? Przecież widziałaś już tę sztukę!

— Widziałam, to prawda, ale nie w nowym kostyumie...



Z wojny ros.-jap.: Porucznik i 22 żołnierzy japońskich, resztki oddziału, złożonego z 200 ludzi, wchodzi do zdobytego Tienlinu.



Z wojny ros.-jap.: Krwawe żniwo wojenne: Gablotka z powyjmowanymi z ciał ciężko rannych żołnierzy kulami, w jednym ze szpitali japońskich.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Niejednokrotnie pisaliśmy już na tem miejscu o przyczynach wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej i staraliśmy się w możliwie najdokładniejszy sposób wyłuszczyć przyczyny, które spowodowały wypowiedzenie przez Japonię wojny. Niejednokrotnie też zwracaliśmy uwagę na to, że dziwną rolę w obecnej wojnie odgrywają Chiny. W ostatnich czasach pojawiły się w pismach zagranicznych, zwłaszcza rosyjskich, artykuły, które na tę sprawę rzucają bardzo wiele światła. Według korespondenta „Petersbursk. Listka“ w papierach pośmiertnych zmarłego niedawno dostojnika chińskiego znaleziono dokument, ogromnie ciekawy i ogromnie interesujący. Była to mianowicie kopia tajnej umowy pomiędzy Chinami a Japonią, zawartej 27 grudnia 1903 roku. Treść tej umowy jest następująca: 1) Japonia i Chiny zawierają traktat ten na lat 300. 2) Obie strony obowiązują się działać wspolnie przeciw Europejczykom. 3) Japonia zobowiązuje się zachować na tronie dynastyę mandżurską. 4) Japonia zobowiązuje się wydać wojnę Rosyi, wyprzeć ją z granic Mandżuryi i zwrócić Mandżuryę Chinom. 5) Chiny nie powinny przeszkadzać przyłączeniu Korei do Japonii. 6) Japonia ma za pomocą swych instruktorów przeobrazić armię chińską na sposób europejski. 7) Chiny obowiązane są trzymać tyle wojska, by po upływie lat 12 mogły wystawić armię, złożoną z 2 milionów ludzi. 8) Chiny wraz z Japonią obowiązują się po 12 latach wypowiedzieć Rosyi wojnę, na którą Japonia wyśle 1,200.000 żołnierzy. 9) Zwyciężywszy Rosyę, Japonia zabierze cały kraj nadamurski i Kamczatkę. 10) Chiny i Japonia mają na celu zawojowanie całej Syberyi wschodniej dla Chin, poczem wybudowane zostaną dwie koleje, a mianowicie z Pekinu do Kiachty i z Tientsinu do Chajlanu przez stepy Mongolskie. 11) Wydatki wojenne w stosunku 30% poniesie Japonia, resztę zapłacą Chiny.

Umowa powyższa, stanowiąca najlepszy dowód, że Japonia oddawna już myślała o wojnie z Rosyą i że oddawna już przygotowywała się do niej, otrzymać ma moc obowiązującą po zwyciężeniu Rosyi przez Japonię i po zwróceniu przez nią Mandżuryi Chinom. Wytłumaczonym też wobec tego będzie fakt, który od początku wojny wprawiał cały świat w zdumienie, że Japonia rzeczywiście przygotowaną była na wszystkie ewentualności, że zasoby jej pieniężne do dziś dnia wystarczają i że ciągle może słać na plac boju nowe zastępy bojowników, czyli, jednem słowem, stara się wszelkiemi siłami zwyciężyć.

Ciekawą wobec tego jest przyszłość Mandżuryi, o którą w obecnej wojnie głównie chodzi. W sprawie tej, w sprawie przyszłości Mandżuryi, ukazała się niedawno nadzwyczaj ciekawa książka będąca polityczną a fachowo obrobioną rozprawą p. t.: „Powierzenie zarządu Mandżuryi“. Autor jej, rodowity Japończyk, wybitny publicysta, przytem najpoważniejszy znawca prawa międzynarodowego w Japonii, dr. Nagao Ariga, podaje w niej projekty, w jaki sposób możnaby najłatwiej rozwiązać nastręczające się w tym względzie trudności z zakresu prawa międzynarodowego.

Dr Ariga zaznacza przedewszystkiem, że zakończenie wojny, jakiekolwiekbyśmy je sobie wyobrazili, będzie zawsze połączone z wielkiemi trudnościami.

Ani bezpośrednie negocyacye między dwoma stronami walczącemi, ani pośrednictwo trzeciego mocarstwa, czy mocarstw, ani też międzynarodowa konferencya, sąd rozjemczy — nie są środkami odpowiedniemi do zakończenia wojny. Stanowisko zatem, jakie musi zająć Japonia, nie może być inne, jak tylko — po zakończeniu działań wojennych — pozostanie na pozycyach zajętych i oczekiwanie nadejścia pomyślnej sposobności. Do tego potrzebne jest obsadzenie Mandżuryi załogami. Taki stan rzeczy, który Japonia musiałaby utrzymywać w Mandżuryi w czasie między zakończeniem operacyi wojennych a zawarciem pokoju, nazywa dr. Ariga „okupacyą garnizonową“.

Taka okupacya nie może być jednak stanem trwałym.

Z tego powodu przemawia dr Ariga za „powierzoną administracyą Mandżuryi“. Chodzi mu mianowicie o to, aby w zadowalający sposób rozwiązać sprzeczność dwóch specyalnych względów, t. j.: że Mandżurya z jednej strony ma pozostać



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy, zajęci wyławianiem min z morza na wybrzeżu portarturskiem.



Z wojny ros-jap.: Palenie trupów poległych żołnierzy japońskich.

w dalszym ciągu częścią terytoryum chińskiego, z drugiej strony zaś trzeba ją oddać pod zwierzchnictwo Japonii, aby zapobiedz ewentualnym dążeniom Rosyi, zmierzającym do ponownego jej zagarnięcia. Krótko mówiąc, żąda dr. Ariga, aby Chiny powierzyły zarząd Mandżuryi władzom japońskim. Taki rodzaj administracyi nie jest zresztą nowością, gdyż jest on dzisiaj wykonywany przez Austro-Węgry w Bośni i Hercogowinie, a rozprawa dra Arigi przytacza szczegółowo przykłady, tyczące się zarządu tych prowincyi.

Trudnością praktyczną, z jaką się zaraz na początku spotyka teorya „powierzonej administracyi“, jest sposób skłonienia Chin do oddania zarządu Mandżuryi władzom japońskim. Ponieważ, zdaniem autora, układ mandżurski między Chinami a Rosyą nie uległ unieważnieniu za sprawą wybuchu wojny japońsko-rosyjskiej, Chiny prawdopodobnie wahałyby się zgodzić na żądanie Japonii ze względu na zobowiązania wobec Rosyi, zaciągnięte na mocy traktatu mandżurskiego, a nawet, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Chiny wogóle niechętnie by się na to zgodziły. Wobec tego autor proponuje dalsze utrzymanie „okupacyi garnizonowej“ przez Japonię, póki Rosya, znużona i wyczerpana wojną, nie odstąpi od swych praw i interesów w Mandżuryi, uzyskanych na podstawie traktatu z Chinami. Japonia zatem, zdaniem dra Arigi — powinna władać Mandżuryą tak długo, aż będzie w możności ten stan faktyczny zmienić na stan prawny. Nie powinna się jednak zbytnio z tem spieszyć. „Okupacya garnizonowa“ jest tylko tymczasowem, przejściowem urządzeniem, zanimby nastąpiło „powierzenie zarządu“, ale utrzymywanie tego stanu przez czas dłuższy utworzy podstawę nowego, specyalnego stosunku Chin i Japonii. Stałe zaś zajęcie Mandżuryi jest, zdaniem autora, jedynym sposobem, aby w zupełności wyrównać zamieszanie i ciągłe zatargi między Japonią i Rosyą, Japonią i Chinami, oraz Chinami i Rosyą i aby stworzyć nowe widoki na przyszłość.

Tymczasem w Mandżuryi toczą się dalej walki, o rezultacie których zawczasu nic mówić nie możemy. Zwróćmy jednak uwagę na inną jeszcze rzecz, w prasie rosyjskiej dzisiaj szeroko omawianą. Jest to mianowicie proces wojenny gen. Stoessla. Już w poprzednich numerach zaznaczyliśmy, że aureola, jaką otoczono skronie Stoessla, w ostatnich czasach ogromnie zbladła. Stoessel przedłożył wprawdzie ze swej strony komisyi śledczej wszystko co mógł, aby kapitulację usprawiedliwić. Przedstawił bardzo szczegółowo stan twierdzy i złodziejstwa dostawców wojskowych, którzy pieniądze wzięli, ale zamówień do Portu Artura nie dostarczyli i zostawili twierdzę portarturską bez zapasów, źle uzbrojoną, wogóle niezdolną do stawienia dłuższego oporu. Z drugiej jednak strony komisya śledcza musi także przesłuchać szereg starszych oficerów portarturskich, dzisiaj po większej części przebywających w niewoli japońskiej, którzy zarzucają Stoesslowi, że zbyt się pospieszył z kapitulacyą, że twierdza mogła się była jeszcze co najmniej przez miesiąc trzymać. I prasa rosyjska zwraca się bardzo ostro przeciw Stoesslowi. Współpracownik „Nowoje Wremia“ p. Mieńszikow zapowiedział niedawno, że wyda w oddzielnej książce zbiór listów, otrzymanych od uczestników wojny, zarówno żyjących, jakoteż pozostających dzisiaj w niewoli, celem przedstawienia w świetle prawdy przebiegu wojny. Podajemy obok urywek z jednego listu, dotyczącego wrażenia, jakie w armii wywarł upadek Portu Artura: „Proszę sobie wyobrazić, co się z nami działo, gdy w straszliwy mróz byliśmy zasypywani tysiącami bomb, na odłamach których odczytywaliśmy stempel „Obuchowska fabryka“. Były to pociski wielkiego kalibru, 6-calowe i w moim korpusie zabiły nie jedną setkę ludzi. Działa i pociski wywiezione były przez Japończyków z Portu Artura, który generał Stoessel oddał Japończykom z takim pośpiechem, że nie uprzedził nawet o kapitulacyi Werszynina, naczelnika zarządu miejskiego w Porcie Artura, który skutkiem tego nie zdążył ukryć 300 tysięcy rubli skarbowych pieniędzy. Wskutek zbytecznego pośpiechu Stoessel nie zniszczył ani dział, ani pocisków, a było to przecież bardzo łatwem do zrobienia. Należało tylko wrzucić wszystko do głębokiej zatoki. Teraz Nogi przywiózł do armii czynnej wszystkie działa, bezkarnie pali do nas z naszych armat, zabranych z Portu Artura. Takt Stoessla pozwolił mu na odfotografowanie w jednej grupie siebie i swego sztabu, z Nogim i jego sztabem. Trzeba być ..... żeby się zgodzić na podobne zdjęcie. Po paru dniach Japończycy zaczęli nocami podrzucać te plugawe fotografie, na których widniał Stoessel razem z Nogim i ich sztaby“.— Nie mam odwagi drukować dalszego ciągu tego listu — dodaje od siebie p. Mieńszikow.

Do rozprawy głównej, która się odbędzie prawdopodobnie w grudniu, zawezwany będzie między innymi i generał Smyrnow, jeden z najbardziej zdecydowanych wrogów Stoessla, dzisiaj przebywający w Japonii. Najcięższym zarzutem, jaki postawią Stoesslowi, będzie fakt, że Stoessel rzeczywiście kapitulował wbrew woli wszystkich oficerów, czego mu było niewolno zrobić. Zdaje się jednak, że mimo wszystkie dowody sąd wojenny nie będzie z pewnością innym, jak i wszystkie sądy rosyjskie, gdzie za pieniądze bywa wymierzaną sprawiedliwość. O ile nam się zdaje, komisya po zbadaniu całego materyału za i przeciw Stoesslowi, „przyjdzie do przekonania“, iż Stoessel musiał kapitulować i generał wyjdzie z rozprawy otoczony jeszcze nimbem bohaterstwa. Sam Stoessel i przyjaciele jego o to się postarają. Zresztą, niech będzie co chce, ale jest faktem, że Stoessel salwował przez 8 miesięcy honor armii rosyjskiej, wtedy, kiedy inni jenerałowie brali ustawicznie cięgi w Mandżuryi.

Żołnierze japońscy święcą uroczyście rocznicę swoich zwycięstw. O jednej z takich uroczystości doniósł niedawno korespondent Biura Reutera z głównej kwatery japońskiej, mianowicie o uroczystym obchodzie rocznicy bitwy nad Jalu przez armię generała Kurokiego. Armia ta obozuje dzisiaj daleko na północ od Mukdenu. Dolinie, w której obozuje, nadano zapomocą kopców, grot i rowków z wodą charakter japońskiego krajobrazu. W innem miejscu ułożono teren pamiętnej bitwy. Na równinie pstro udekorowanej, zbudowali żołnierze teatr i ubili boisko do wyścigów i zapasów. Na pobliskim pagórku ustawiono ołtarz z tablicą pamiątkową na cześć poległych towarzyszów. Dojście do ołtarza tworzył szeroki szpaler, którego drzewa, pokryte sztucznemi kwiatami wiśni, połączono tryumfalnemi łukami. U ołtarza kapłani buddyjscy i szyntoiści odprawiali modły ku pamięci bohaterów, gdy u stóp pagórka zgromadzona armia prezentowała broń. Po skończonej ceremonii oficerowie zasiedli do wspólnej biesiady, a żołnierze oddali się wesołej zabawie, w której maskowe pochody, zapasy i gonitwy do mety grały główne role. Święcono uroczyście rocznicę tej bitwy, pierwszej wielkiej bitwy z Rosyą, która im otworzyła bramy Mandżuryi i pchnęła ich do dalszych, pełnych chwały zwycięstw.

Przejdźmy teraz z lądu na morze.

Aczkolwiek w czasie operacyi wojennych na morzu pod Portem Artura przestrzegano nadzwyczaj pilnie, aby nie przekraczać pasu wojennego, ze względu na bezpieczeństwo niewojennych okrętów handlowych, jednakowoż pas ten ściśle oznaczyć się nie dał i dzisiaj morze koło Portu Artura jest jeszcze dla normalnej żeglugi ogromnie niebezpieczne. Rzecz to bardzo zrozumiała, jeżeli zważymy, że cały pas morza koło Portu Artura zasiany był podwodnemi minami, temi najstraszniejszemi narzędziami nowoczesnej wojny. Miny te, choć starano się je umieszczać tylko w pewnym pasie, z czasem spłynęły, zerwały się i woda uniosła je daleko, tak, że dają się one nieraz widzieć na wybrzeżach koło Niuczwangu. Fakt to bardzo smutny i niejeden już okręt handlowy wyleciał w powietrze, najechawszy na taką zabłąkaną daleko minę. W ostatnich czasach telegramy niejednokrotnie donosiły o takich wypadkach. Są to smutne, ale konieczne następstwa dzisiejszej wojny. Nie brak jednak i wypadków, które obok swej grozy są nadzwyczaj komiczne. Na wybrzeżu morskiem koło Czifu np. zobaczyli Chińczycy, idący o świcie do pracy, jakiś ciemny przedmiot, ciekawie wyglądający, na powierzchni morza. Zdziwieni, coby to było, wyszukali ukrytą gdzieś w pobliżu łódź, kilku z nich siadło w nią i podpłynęło do dziwowiska. Znalazłszy średnich rozmiarów jakąś żelazną skrzynkę, ciekawie skonstruowaną, wynieśli ją na brzeg i poczęli oglądać.



Z wojny ros.-jap.: Smutny powrót: Rannego oficera rosyjskiego przenoszą z pociągu, świeżo przybyłego z rannymi z pola wojny do Moskwy, do wozu ratunkowego wojskowego szpitala w Moskwie.

Jeden z młodszych, chcąc widocznie się przekonać, czy w skrzynce tej nie ma jakich skarbów ukrytych, a wiadomo, jak Chińczycy są chciwi na pieniądze, wziął kamień i począł tłuc w skrzynkę. Nagle szalony wybuch wstrząsnął powietrzem i w tej chwili wszyscy zgromadzeni padli, jakby rażeni piorunem, rozdarci na strzępy. Miejsce, gdzie przedtem stała gromadka ludzi, przedstawiało się jak jeden straszny obraz zniszczenia. Ziemia porozrywana w bruzdy, ciała ludzkie zbite w jedną ohydną masę, zmieszaną z ziemią. Okazało się, że nieszczęśliwi chwycili minę i uderzając w nią kamieniami, spowodowali wybuch, który ich życia pozbawił. Albo inny wypadek. Przejeżdżający rankiem na jednym z angielskich okrętów, zdążającym do Portu Artura podczas bardzo spokojnego morza, zaskoczeni zostali nagłym hukiem, a równocześnie spostrzegli, że najniespodziewaniej morze się wzburzyło i zaczęły się nawet tworzyć fale. Wytężyli więc wzrok w stronę wybrzeża, skąd ich doleciał huk, i zobaczyli dziwny obraz. Oto skały nadbrzeżne jedna po drugiej wylatywały w powietrze, roztrzaskując się na drobne kamyki, powodując przytem huk, jakby się tam najzaciętsza toczyła walka artyleryjska. Przekonano się że jedna z min pływających, uniesiona prądem, uderzyła w wystający ostro cypel skalny, wybuchła i spowodowała wzburzenie morza. Również jednak na powierzchni morza znajdowało się więcej min, więc, uniesione na brzeg, wybuchały jedna po drugiej niszcząc całe wybrzeże. Rzeczywiście trzeba przyznać, że dzisiejsza wojna, będąca jeno mordownią ludzi i rozporządzająca nadzwyczajnymi środkami, jest wymysłem najstraszniejszym, jaki się da pomyśleć i najgroźniejszym, jaki sobie można wyobrazić.

Przez dłuższy czas zamilkły wieści o armadach, wyczekujących na siebie na morzach wschodnich. Naprężenie wśród śledzących wypadki wojenne było niezmiernie wielkie, ale ze skąpych wiadomości dzienników nie można się było właściwie niczego dowiedzieć. Najważniejszą może ze wszystkich jest wiadomość, iż naczelnym wodzem całej eskadry rosyjskiej, przebywającej na wodach wschodnich, zamianowany został admirał Birilew. Wiadomość tę poprzedziły doniesienia dzienników o śmierci Rożdiestwieńskiego, o zamachu, jaki na niego wykonano jeszcze w czasie, kiedy przebywał w Nossi Be, to znowu pisano o chorobie, która mu nie pozwalała na dalsze zatrzymanie władzy. Pogłoski te okazały się bajką, faktem natomiast jest oddanie dowództwa całej floty rosyjskiej Birilewowi, który w zeszłym tygodniu udał się do Władywostoku, aby tam czekać na przybycie Rożdiestwieńskiego.

Wedle relacyi „Timesa“ Rożdiestwieński musiał się zrzec dowództwa, ale bynajmniej nie z powodu choroby. Wprawdzie zdrowie jego zawsze pozostawiało dużo do życzenia, ale należy przypuszczać, że będzie mógł zachować dowództwo tak długo, aby doprowadzić eskadrę swoją do Władywostoku. Wówczas jednak misya jego będzie skończona i wtedy będzie miał prawo powrócić do Rosyi, zająć na nowo stanowisko szefa sztabu marynarki, z którem tylko tymczasowo się rozstał. Zresztą po dostaniu się do Władywostoku rola Rożdiestwieńskiego zmniejszy się znacznie. Jest on zbyt nerwowy, zbyt drażliwy, aby mógł działać wspólnie z dowódcami fortecy i innymi generałami we Władywostoku. Admirał Birilew natomiast, właśnie osobisty przyjaciel Rożdiestwieńskiego, jest mężem, odpowiednim do położenia. Posiada niezakłócony niczem spokój ducha i przymioty pojednawcze. Więc też, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Birilew obejmie dowództwo i będzie kierował dalszemi operacyami wojennymi. Tak tłómaczy przyczynę ustąpienia Rożdiestwieńskiego angielski „Times“ zazwyczaj dobrze poinformowany o urzędowych sprawach rosyjskich.

Zachodzi tu jednak kwestya, czy Rożdiestwieński potrafi doprowadzić misyę swoją do końca, tj. czy uda mu się rzeczywiście pokonać przeciwnika i okręty swoje dostawić do Władywostoku. Bitwy morskiej spodziewać się należy lada dzień, a na wynik jej nawet najbardziej zdecydowani stronnicy Rosyi patrzą bardzo sceptycznie.

Akcya Japończyków, zmierzająca do oblężenia Władywostoku postępuje coraz bardziej naprzód. Przed kilku dniami przyniósł telegram ciekawą wiadomość, że generałowi Kurokiemu udało się przerwać linię kolejową, łączącą Charbin z Władywostokiem. Wieść tę, która w Rosyi szczególnie wywarła ogromnie przygnębiające wrażenie, potwierdzono w dzień później urzędownie ze strony japońskiej. A jest to fakt, który na dalszy przebieg wojny wywrze kolosalny wpływ. Przedewszystkiem Władywostok został zupełnie odcięty od Rosyi europejskiej i nie może już liczyć na posiłki w ludziach ani w amunicyi czy żywności ze strony Rosyi. Japończycy otaczają go coraz ciaśniejszym pierścieniem ze strony lądu, blokada na morzu trwa już oddawna; nie będziemy więc, jak się zdaje czekać długo, a Władywostok ulegnie temu samemu losowi, co i Port Artura, uważany swego czasu za twierdzę nie do zdobycia.

Z rycin, jakie zamieszczamy w dzisiejszym numerze, najbardziej interesującą jest rycina, przedstawiająca wyławianie min na wybrzeżu koło Portu Artura. O minach tych pisaliśmy powyżej, tu możemy zaznaczyć jeszcze, że Japończycy dokładają wszelkich sił, aby o ile możności usunąć wszystkie miny, jakie się jeszcze na pobliskiem morzu znajdują i aby tym sposobem umożliwić kursowanie okrętów handlowych. Chodzi tu przecież o handel japoński.

Druga rycina jest ciekawym obrazkiem dla tych, co wojną się zajmują i śledzą ją bardzo uważnie dlatego, aby módz z niej wyciągnąć wszystkie dane, przemawiające za zaprzestaniem wojen. Jest to obrazek ze szpitala japońskiego. Widzimy tam gablotkę, podzieloną na przedziałki, a w każdej przedziałce na papierze, zapisanym jakiemiś dziwnymi znakami, kule, powyginane i połamane w najniemożliwszy sposób. To plon wojenny, zebrany na polu walki, to krwawe żniwo wojny. Kule te bowiem — to kule karabinowe, powyjmowane z ciał ranionych i zachowane na pamiątkę. Widać po ich kształcie, jak się wpiły w ciało, jak zdruzgotały kości nieszczęśliwych żołnierzy. Na pozór wyglądają niewinnie, nie poznać po nich, że każda niesie z sobą śmierć, a jeżeli jej nie przyniosła, to jedynie dzięki przypadkowi i opiece lekarzy, którzy się rannym zaraz zajęli.

Na innej rycinie widzimy znów grupkę żołnierzy, wdzierającą się przez okopy do miasta. To resztki z dużego, bo przeszło 200 ludzi liczącego oddziału. Jest ich razem z kapitanem 22. Stali w najcięższem ogniu, gdzie śmierć obfite zbierała żniwo, ale nie cofnęli się, owszem, poszli naprzód. 180 ich padło, pozostała zaledwie garstka, ale ta garstka zdecydowaną była również umrzeć, by ciałami swemi umościć drogę następnym szeregom, które muszą zwyciężyć. Fotografia ta zdjętą została przez jednego z korespondentów angielskich na polu wojny nad rzeką Szak. Zaiste można powiedzieć, że wojna, to macocha, która zabiera dzieci, a pozostawia kości trupie.

Największą sympatyą z pomiędzy wodzów japońskich cieszy się generał Kuroki. Czy to dla tego, że on pierwszy wdarł się do Korei i tam już pokazał, co umie, czy też przez to, że odznacza się jakiemiś wyjątkowemi zdolnościami i przymiotami, dosyć, że cały świat uważa go za bohatera, za geniusza wojennego. Na ilustracyi naszej widać gen. Kurokiego w towarzystwie angielskiego attache wojskowego gen. Hamiltona, obserwującego ruchy swoich wojsk w bitwie mukdeńskiej. Przygarbiona już trochę postać Kurokiego w długim płaszczu wojennym, przy lupie, zda się być jakimś posągiem bóstwa, które z zimną krwią patrzy na losy ludzkie, myśląc spokojnie, którą przeważyć na czyją korzyść szalę. Stojący obok generał Hamilton uśmiecha się; zna on cały plan wodza i przekonany jest, że Japończycy muszą z takim planem zwyciężyć.



Z wojny ros.-jap.: Gen. Kuroki w towarzystwie angielskiego attache wojennego generała Hamiltona, obserwuje ruchy swoich wojsk w bitwie mukdeńskiej.

Dwie ryciny przedstawiają smutne obrazki, jakie mają miejsce po każdej większej bitwie. Na jednej widzimy oddział żołnierzy, konwojujący rannych japońskich, na drugiej palenie trupów żołnierzy, poległych w walce.

Dzień w dzień słyszymy, że Rosya wysyła na Daleki Wschód coraz nowe zastępy, nowe pułki. Jadą ci ludzie, dla których los się macochą okazał, na Wschód, i niejeden z żalem patrzy na znikające coraz bardziej strony ojczyste. Czy tu jeszcze kiedy powróci? Albo jak powróci? Niewiadomo. Wyjechał w pełni sił i zdrowia, a może wróci kaleką, nieszczęśliwym na całe życie. Na rycinie naszej widzimy taki właśnie powrót z Mandżuryi. Na dworcu w Moskwie wyniesiono z wagonu ciężko rannego, który dłuższej potrzebuje opieki lekarskiej i staranniejszej, niźli mu ją dać mogli na polu wojny, w szpitalach, przepełnionych ran-



Z wojny ros.-jap.: Przewożenie rannych żołnierzy japońskich do szpitala.

nymi. Smutny to obraz, tem smutniejszy, jeśli zważymy obecny stan w Rosyi, że synowie giną na polach Mandżuryi, od kul japońskich, a ojcowie ich w Rosyi, od kul własnych braci, zabranych w carskie mundury.

Podajemy również fotografię admirała Birilewa.

Pogrom eskadry Rożdiestwieńskiego.

Złowroga cisza, jaka panowała na wodach Oceanu Spokojnego, zgotowała nam znowu niespodziankę. W poniedziałek nadeszły do Europy telegramy, donoszące o kolosalnej bitwie, jaką admirał Togo stoczył z eskadrami Rożdiestwieńskiego i Nebogatowa. Mylnemi okazały się przypuszczenia europejskich taktyków marynarskich, którzy zadziwieni, że flota japońska dotychczas nie próbowała przerwać jazdy admirała Rożdiestwieńskiego, wnosili, że admirał Togo chce dopuścić nieprzyjacielską flotę do Władywostoku, aby tam powtórzyć historyę Portu Artura. Togo zastąpił drogę flocie rosyjskiej, a zastąpił jej w miejscu, które dla tej operacyi było dlań najdogodniejsze. W sobotę wieczorem przyszło do bitwy w cieśninie Koreańskiej, koło wyspy Cuszima.

Wyspa Cuszima leży w samym środku cieśniny Koreańskiej, między Mazampo i Fuzan z jednej, a Simonoseki z drugiej strony, oraz znajduje się w pół drogi między północnem wybrzeżem Formozy a Władywostokiem. Około stu kilometrów dzieli ją i od wybrzeży Korei i od południowej Japonii, mniej więcej tysiąc kilometrów od Władywostoku. Flota japońska ma tam oparcie nietylko o ufortyfikowaną wyspę, ale i o wojenne porty Japonii i o zasobne nagromadzonemi materyałami przystanie południowej Korei. W tej samej cieśninie w pierwszym roku wojny admirał Kamimura pokonał i zniszczył prawie doszczętnie eskadrę władywostocką, podczas jej trzeciej wycieczki wojennej.

Wynik bitwy był nie tyle straszny, ile w całym świecie nieoczekiwany. Była to bowiem jedna z największych bitw, jakie stoczono na morzu, bitwa dwóch armad potężnych. I znowu okazało się, że admirał Togo jest największym współczesnym admirałem. Flota bowiem rosyjska, znacznie większa od jego, została przezeń doszczętnie rozbitą. Jedenaście wielkich okrętów wojennych zostało zatopionych, cztery pancerniki Japończycy zabrali do niewoli, reszta okrętów zniszczona szukała ocalenia w ucieczce. Z eskadry Rożdiestwieńskiego pozostało zaledwie 8 do 10 okrętów, jako tako zdolnych do boju. Eskadra bałtycka przestała istnieć. Wedle ostatnich doniesień, jakie doszły do nas jeszcze przed oddaniem numeru na maszynę, w bitwie tej zatonęły **wszystkie rosyjskie pancerniki**, z wyjątkiem „Mikołaja“ i „Orła“, które Japończycy wzięli do niewoli. Admirałowie **Rożdiestwieński, Felkersam i Nebogatow zostali pojmani do niewoli.** Wedle doniesienia „Timesa“ angielskiego admirał Nebogatow zaraz od początku bitwy stracił zupełnie z oczu Rożdiestwieńskiego, który zaraz, w pierwszej chwili starcia porzucił własny okręt, i przeniósł się na najszybszy torpedowiec, robiący po 25 węzłów na godzinę. Dopiero, gdy Rożdiestwieńskiego już na pokładzie nie było, pocisk japoński ugodził w okręt admiralski i zatopił go. Cała eskadra, jak powiedzieliśmy wyżej, została zniszczoną. Okręty, które uszły z morderczej bitwy, natrafiły na okręty japońskie, zebrane przed Władywostokiem; wywiązała się nowa walka, w której wszystkie okręty rosyjskie zostały zatopione, tak, że podobno tylko jeden jedyny krążownik „Ałmaz“ zdołał dotrzeć do Władywostoku.

Japończycy nie ponieśli prawie żadnych strat. Przynajmniej, wedle doniesień Togi, żaden ich okręt wojenny nie został nawet silnie uszkodzony. Zaledwie kilka torpedowców zatonęło.

Wrażenie tej klęski rosyjskiej na morzu było w całym świecie straszne. Poprostu nie chciano wierzyć, aby klęska mogła przybrać takie zastraszające rozmiary. Wyglądało to na legendę, na baśń nie do uwierzenia. Jednak była to rzeczywistość. Po tej bitwie carat będzie musiał kapitulować przed rewolucyą. W falach cieśniny Koreańskiej znalazły grób ostatnie nadzieje samodzierżawia.

W następnym numerze podamy szereg fotografii zatopionych i zabranych przez Japończyków okrętów wojennych z eskadry Rożdiestwieńskiego.

KRONIKA LWOWSKA.

Goście z prowincyi. — Pogoda. — Szał czynszowy. — Teatr i artyści. — Wieczór ku czci. — Uregulowanie emerytur teatralnych. — Sport na ulicy Sykstuskiej. — Co kobieta potrafi? — Telefonistki. — W tramwaju. — Perfuma za 10 koron. — Dzieło p. Włodzimirskiego. — Trylogia. — Nagrody Akademii paryskiej. — Dawne uchwały. — Klęska Rosyan we Lwowie. — Pomoc ks. Stojałowskiego. — Panna Czaplińska.

Mieliśmy w ostatnim czasie gości z prowincyi. Przyjechali jedni na poświęcenie nowego gmachu Biblioteki uniwersyteckiej, drudzy na uroczystość koronacyjną... Roiło się we Lwowie... Ruch stołeczny w całej pełni... Przepełnione hotele, przeludnione ulice, przepracowani złodzieje kieszonkowi... ruch stołeczny w całej okazałości. Pochmurny dotąd, deszczowy i zimny maj, zdecydował się po długim namyśle na piękną pogodę... Na tę pogodę czekaliśmy wszyscy... Czekał na nią Lwów cały, ażeby rozpocząć szereg festynów i wycieczek, czekał prezydent Małachowski, ażeby się wyprowadzić z ratusza na ulicę Kościuszki, czekali poeci, którzy ciągle śpiewają o cudnie pięknym maju, naciągając grube zimowe rękawiczki, paltoty i kalosze, czekali wreszcie lokatorowie, którzy, uciekając przed wygórowanymi czynszami, wyprowadzają się — na koniec świata.

Prosty szał czynszowy opanował naszych kamieniczników... Naciągają czynsz bez końca... Przyjdzie we Lwowie do tego, że wszyscy pracować będą wyłącznie dla właścicieli kamienic, bo dziś już większa połowa dochodów idzie na mieszkanie... Do czego to dojdzie...



Z wojny ros.-jap.: Admirał Birilew.

I dziwią się, że we Lwowie nie chodzą ludzie do teatru... Teatr prawie pusty na każdem przedstawieniu. Jedyny „Taksator“ robi obecnie kasę, bo ma lekką muzykę i dowcipne libretto. Nadto występują wszystkie ulubienice Lwowa z wyjątkiem Łopatyńskiej. A więc Kliszewska, Miłowska, Kasprowiczowa, Brzeska... Zresztą przeważnie pustki... Dramat nie ma powodzenia. W ogóle nasze stosunki teatralne nie są wesołe. Aktor polski to parjas bez jutra, choćby chwilowo opływał w dostatki... Przed tygodniem pochowaliśmy artystkę, która pomimo zdolności nie zdołała zyskać *engagement.* Trudno winić ludzi, tu winne są stosunki, nad wyraz smutne...

Lecz co mówić o przeciętnych artystach, skoro najwięksi, jak taka Modrzejewska, nie wiedzą, czy nie wypadnie im później postarać się o „wieczór ku czci“... na dochód... na chleb dla nich samych... To rozpaczliwie smutne... Jest dziś publiczną tajemnicą, co właściwie spowodowało ten „wieczór Modrzejewskiej“ — ale Modrzejewska była sławą europejską, znaną nawet w Ameryce, więc znalazła się Ameryka, która ją teraz wsparła... Co jednak ma czynić artysta, który nigdy nie wyjrzał poza granice kraju? Kto jego wesprze i uratuje od głodu, jeśli przypadkiem nie należał do funduszu emerytalnego? A tych jest najwięcej... To smutne, bardzo smutne stosunki, a tak zwane sfery miarodajne powinny nareszcie sprawę emerytury uregulować i uprzystępnić dla wszystkich...

Na ulicy Sykstuskiej zdarzyła się ubiegłej niedzieli katastrofa z motocyklem. Służący Kamińskiego ciągnął motorowy trycykl dla swego pana, a chcąc go wypróbować, puścił motor w ruch jeszcze zanim wsiadł na siodło. Maszyna wyrwała mu się z rąk i pognała sama zygzakiem, kalecząc i raniąc trzy baby. Szczęściem nikt więcej z przechodniów nie dostał się pod rozhukaną maszynę, bo zatrzymała się na ścianie jednej z pobliskich kamienic. Kobiety są w leczeniu, służący i maszyna w aresztach policyjnych. U innych świadków zajścia skończyło się na strachu.

Mówią o zaprowadzeniu automatycznych telefonów we Lwowie. Telefonistki są w rozpaczy. Nie stracą one wprawdzie posad, ale stracą sposobność podsłuchania tylu ciekawych rozmów przez telefon... A od tego są przecież kobietami.

Co potrafi kobieta — wiemy. Raczej nie wiemy, czego nie potrafi... Tak rozumował pan X., gdy przed kawiarnią wiedeńską zoczył grubo przystojną kobiecinkę, wsiadającą właśnie do tramwaju. Nie wiele myśląc, wskoczył do tegoż tramwaju i ulokował się *vis a vis*... Tramwaj zdążał w kierunku Łyczakowa... Piękna pani kupuje „jedną sekcyę“ — piękny pan także... Piękna pani oczkuje, przystojny pan nie posiada się z radości. On lekko uśmiecha się. — ona robi grymas, jak Apollo, gdy chciał być bardzo przyjemnym... Na samym początku ul. Łyczakowskiej piękna dama wysiada, a przystojny młodzieniec za nią... To była mężatka, o czem świadczyła obrączka... Wreszcie przystąpił, gdy chciała wejść do fryzyera.

— Po co pani tu wchodzi?

— Chciałam kupić perfumę...

— Jeśli pani pozwoli, to ja wybiorę i zapłacę...

— Proszę, jeśli pan łaskaw...

Był łaskaw... Wchodzą.

— Proszę o najlepszą perfumę dla tej pani...

Fryzyer robi z niewiadomej przyczyny głupią minę, ale po jakimś namyśle otwiera szklaną szafkę i wyciąga flaszeczkę...

— Co to kosztuje?

Fryzyer namyśla się.

— Dziesięć koron — odpowiada fryzyer z powagą.

Facet płaci 10 koron, piękna pani dziękuje, chowa flaszeczkę do torebki... siada.

— Nie wolałaby pani przejść się? — pyta nieco już zakłopotany facet.

— Muszę... dziś zostać w interesie... mój mąż tak żąda... — mówi piękna dama, wskazując na fryzyera.

— A tak... to... przepraszam... najmocniej przepraszam — wyjąkał młodzieniec i — ulotnił się. nic życząc nawet dobrej nocy.

To potrafi kobieta.

Co kobieta potrafi, najlepiej opisał p. Włodzimirski, który koleje swojej żony przedstawił z rozczulającą otwartością w swoim dziele. Stał się zarazem bardzo poczytnym literatem, a jego żona bohaterką powieściową w najciekawszem znaczeniu. Zapomniał tylko jeszcze wyliczyć, ile razy w miesiącu prało się brudną bieliznę w domu, a bylibyśmy już wiedzieli o wszystkiem... Teraz hr. Milewski zapowiada, że odpowie inną książką w myśl zasady *audiatur et altera pars*... Potem powinna opublikować książkę sama bohaterka romansu, sama pani Włodzimirska i powstałaby trylogia... Rozgłosu można być pewnym, może nawet naśladownictwa...

Szkoda tylko, że książka p. Włodzimirskiego wyszła tak późno z druku, że Akademia paryska nie mogła już jej odznaczyć nagrodą. „Lilith“ Germana również nie otrzymała nagrody, pomimo, że już od roku jest znaną w Europie. Akademia paryska nie zawsze umie być sprawiedliwą, a nawet nie bierze pod rozwagę tych dzieł, które odznacza galicyjski Wydział krajowy, pierwszorzędny znawca dramatu...

To, o czem Wam w swoim czasie pisałem obszernie, to jest miejski zakład pogrzebowy i tramwaj do Kulparkowa już uchwalono w tym tygodniu a najdalej za dwa miesiące zaczyna się chowanie zmarłych „po miejsku“. Do komisyi, która się ma zająć urządzeniem zakładu, wybrano radnych, z których żaden nie terminował w podobnym zawodzie.

Wiadomość o klęsce Rosyan na morzu zrobiła we Lwowie wielkie wrażenie w niedzielę w nocy, zaraz po nadejściu depesz. Na zdrowie i pomyślność Japończyków wypito tej nocy we Lwowie multum pilznera, a gdy go zabrakło, kończono okocimerem, o czem się na szczęście Japończycy dotychczas nie dowiedzieli. Jak się dowiaduję, ksiądz Stojałowski, któremu się nareszcie przejadły te ciągłe klęski Rosyi, organizuje w Galicyi hufce posiłkowe i sam na ich czele wybiera się na wojnę.

Do teatru lwowskiego zaangażowano wreszcie na stałe pannę Czaplińską. Jej sylwetkę wraz z konterfektem przyszlę do jednego z najbliższych numerów „Nowości“. Słynna niedawno „Ciapcia“, jak ją tu pieszczotliwie nazywano, da się niebawem usłyszeć na scenie. A ma we Lwowie oddawna cały sztab gorących wielbicieli.

† Józefa Lucyna Bielecka (Popiel-Benzowa).

Tragedya młodej, a bardzo zdolnej artystki wstrząsnęła w ubiegłym tygodniu mieszkańców nietylko Lwowa, ale i Krakowa i wielu miast prowincyonalnych, w których Lucyna Popiel-Benzowa występowała. Śmierć samobójcza przez zażycie trucizny wywołała szczery żal, tem większy, że powodem samobójstwa rwącej się do sztuki artystki była niemożność uzyskania *engagement*.

Rozpoczęła swoją karyerę około roku 1884 jako kilkunastoletnia amatorka, a jej debiut miał takie powodzenie, że zadecydował o przyszłej karyerze scenicznej. Zaraz potem debiutuje na scenie krakowskiej za dyrekcyi Glicksona jako Spinoza w „Urielu“, dzieląc powodzenie z wykonawcą roli tytułowej Romanem Żelazowskim. Kiedy ś. p. Ł. Kwieciński założył stały teatr w Stanisławowie zebrał ansambl, złożony z młodych a prawdziwie utalentowanych adeptów, a w ich gronie znalazła się i pani Benzowa jako jedna z pierwszych. W teatrze tym zajęła odrazu pierwszorzędne stanowisko, dublując z tak słynną w owym czasie panią Kwiecińską wszystkie „naiwne“, a po jej wyjeździe grając wszystkie te role sama jedna... W bardzo krótkim czasie stała się ulubienicą teatralnej publiczności, a recenzye z zachwytem wyrażają się o świetnej grze pani Popiel-Benzowej kwalifikując ją na scenę stołeczną. Ogromnie sympatyczne *exterieur*, umiejętne poruszanie się na scenie, niezwykła żywość temperamentu, bardzo miły, srebrzysty głos — to były zalety, które pozwalały tej zdolnej artystce stwarzać z każdej roli cacko prawdziwe. W rolach naiwnych (n. p. we wszystkich komedyach Bałuckiego) była wprost doskonałą. Obok tego bierze role o głębszym zakroju, więcej refleksyjnym i w tych wykazuje dużo talentu. Z tych czasów najlepsze jej role są: rola tytułowa w „Poczwarce“, Róża w „Walce motyli“, rola tytułowa w „Jadzia wdową“, Helenka w „Panu Damazym“, Zofia (Kula u nogi), Berta w „Polowaniu na zięciów“, Norcia w „Wyrodnym ojcu“, Mania w „Letnikach“, Baletnica w „Żołnierzu królowej Madagaskaru“ i cały szereg innych.



† Józefa Lucyna Bielecka.

To był najświetniejszy okres jej życia i jej działalności na scenie za dyrektorów Kwiecińskiego, a potem Antoniewskiego. W tym czasie zaprasza ją dyr. Heller na gościnne występy do Lwowa, gdzie przez cały miesiąc występuje i podoba się ogólnie. Lwów zna ją zresztą z występów stanisławowskiego teatru im. hr. Fredry w sali Klubu pocztowego, a potem w lecie 1897 w letnim teatrze na Wałach gubernatorskich.

Przez lat sześć od r. 1892—1898 występuje pani Benzowa z tymże teatrem w Krynicy podczas sezonu, a taksamo zwiedza z nim większe miasta prowincyonalne, jak Kołomyję, Czerniowce, Tarnopol, Przemyśl, Jarosław, Tarnów i inne, wszędzie stanowiąc jednę z najlepszych sił tego teatru. Po zwinięciu teatru im. hr. Fredry udaje się ś. p. Łucya do Łodzi, do teatru Wołowskiego, z którym następnie wyjeżdża do Petersburga. Wreszcie wraca do Lwowa i nie mogąc na razie dostać się na scenę miejskiego teatru, przyjmuje propozycyę teatru ludowego... Od tej chwili zaczyna się dla niej szereg zawodów...

Jako artystka miała obok tylu innych zalet i tę, że nie umiała, czy nie chciała kłaniać się nisko i mówiła głośno prawdę... To dziś jest wadą. Dzięki temu w ludowym teatrze nie dobrze się wiodło zdolnej artystce i musiała go porzucić. W ostatnim czasie była bez posady. Wyjeżdżała tylko w towarzystwie pp. Feldmana lub Kamińskiego na przedstawienia do innych miast prowincyonalnych. Z Feldmanem grała rolę tytułową w „Lekkomyślnej siostrze“, a ten znakomity artysta nie miał dość słów pochwały dla jej świetnej gry. To była zarazem jej ostatnia rola... Gościnne występy nie wystarczały dla artystki w kwiecie wieku i obdarzonej tak niepospolitym talentem, że mogłaby stanowić ozdobę sceny stołecznej. Starała się więc dalej o posadę we Lwowie. Przyrzekano i przyrzekano.. Czekała lat kilka... Nareszcie miała nastąpić zmiana w Krakowie. To była jedyna jej nadzieja. Zapukała do dyr. Solskiego. Tymczasem jeszcze nie — może później, odpowiedziano jej. Rozumiała, co to znaczy. Tak brzmią wszystkie odmowy... Tak ciężki zawód po tylu innych potargał do reszty nadwątlone nerwy. W przystępie ataku zażyła wielką dozę strychniny. Wszelki ratunek okazał się niemożliwym.

Ubiegłej soboty odbył się pogrzeb nieszczęśliwej artystki. Liczny zastęp kolegów i koleżanek zebrał się przed kapliczką przy ul. Piekarskiej. Wszyscy mieli łzy w oczach... Chór teatralny męski w komplecie pod batutą p. Pasławskiego odśpiewał po wyniesieniu trumny „Ave Maria“ Troszla, a następnie nad grobem dwie pieśni: „Cisza grobów nas ocienia“ X-a i tegoż „Już ostatni śpiew tobie brzmi“ z nadzwyczajną sprawnością. Na grobie złożono wieńce od artystów teatru miejskiego, od koleżanek i od dyrektora Władysława Antoniewskiego.

Z ś. p. Popiel-Benzową schodzi do grobu talent prawdziwy, któremu panujące u nas fatalne stosunki nie pozwoliły dalej rozwijać się i działać z pożytkiem dla polskiej sceny. Tragiczna śmierć samobójcza młodej artystki jest smutnem świadectwem tych stosunków, a zarazem jednem dowodem więcej, że nie powinno się artyście odbierać sposobności do pracy, która jest potrzebą jego duszy

Cześć jej pamięci! *Klewe*

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

6 (Ciąg dalszy).

— Proszę! jak zwykle u panów Anglików wszystko jest we wzorowym porządku! A teraz, możeby pan mógł nam powiedzieć coś, coby rzuciło światło na tajemniczy zgon Rudolfa Springera?

Ale to, co mister Parker opowiedział, w niczem nie wyświetlało sprawy. Prócz znanych już wszystkim okoliczności, nadmienił tylko, że zmarły podczas przedstawienia był w znakomitym humorze i sam zaproponował, aby po teatrze poszli gdzieś razem na kolacyjkę. Gdy wychodzili z teatru, tłum rozdzielił ich jednak i Parker stracił swego towarzysza z oczu. Szukał go wprawdzie, ale na próżno i wkońcu wrócił do hotelu.

— Ileż pan czasu stracił na szukanie zmarłego?

— Może kwadrans, może pół godziny! nie patrzyłem się na zegarek, więc też dokładnie określić tego nie mogę!...

— A czy potem udał się pan wprost do hotelu?

Anglik nie odpowiedział zaraz. Widocznie nie zrozumiał dobrze pytania, ale gdy komisarz ponowił je, odparł z flegmą:

— Nie! bo nie miałem żadnego powodu obawiać się o pana Springera! Wstąpiłem więc przedtem do restauracyi i zjadłem tam kolacyę, befsztyk i wypiłem przy tem szklankę wina...

— Dobrze! a w której restauracyi?...

— W wielkiej jakiejś winiarni, tuż koło teatru. Nie znam jednak nazwiska właściciela tego lokalu!

— A która godzina była, gdy przyszedłeś pan do hotelu?...

— Co najwyżej kilka minut, a może kwadrans po dwunastej!...

— Dziękuję! Resztę już wiemy! A teraz proszę, niech państwo pozwolą za mną!...

Zwłoki Rudolfa Springera, przykryte białem prześcieradłem, leżały w drugiej izbie na kamiennych marach. Światło dwóch lamp gazowych padało na jego twarz, na której malował się łagodny uśmiech, a nie groza śmierci. Zdawało się, że staruszek nie umarł, ale śpi po trudach podróży. I tylko trupia bladość oblicza, tylko zapadnięte w głąb oczy mówiły, że to nie sen, tylko śmierć raz na zawsze ukołysała starca w swem objęciu.

Ciche łkanie rozdarło pierś Heleny, gdy uklękła przy zwłokach ukochanego ojca i wzrok pełen boleści utkwiła w jego uśmiechniętej twarzy. Urzędnik nie potrzebował lepszego dowodu, że zmarły jest jej ojcem i nie zwrócił się nawet do niej z tem urzędowem zapytaniem, tylko do Anglika, który stojąc wsparty o framugę drzwi, nie spoglądał na trupa, lecz na przeciwległą ścianę izby.

— Tak, panie komisarzu! to on! to on, niema najmniejszej wątpliwości! — rzekł obojętnym głosem Anglik i po chwili dodał jeszcze:

— Ależ to jeszcze okropne powietrze! Pozwoli pan, że wyjdę stąd bezwłocznie!...

Naturalnie urzędnik nie miał nic przeciwko temu i mister Parker w ogródku, otaczającym kostnicę, czekał na Helenę. W kwadrans później młode dziewczę opuściło kostnicę. Piękna jej twarzyczka była blada, jak marmur, oczy zaczerwienione od łez, a w rysach malował się taki smutek, że się patrzącym na nią serce krajało. Milczeniem odpowiedziała na kilka słów pociechy, które jej wyszeptał komisarz po drodze do dorożki, i wdzięczną była Anglikowi, że podczas powrotu do hotelu ani słówka nie odezwał się do niej.

W hotelu zastali oboje stryja Franciszka jeszcze bardziej wzburzonego, niż go pozostawili. Z kolei robił on sobie straszne wyrzuty, że uległ chwilowej słabości i nie towarzyszył Helenie; zasypywał przytem swą bratanicę przysięgami i zapewnieniami, że zastąpi jej zmarłego, że będzie drugim jej ojcem a wszystkie jego żale i skargi kończyły się jednem: wspomnieniami czułej miłości i przyjaźni oraz najserdeczniejszych stosunków, jakie łączyły go zawsze i nieprzerwanie z nieboszczykiem bratem.

Sekcya zwłok wykazała niezbicie, że Rudolf Springer zakończył życie przez utopienie się i że nie było najmniejszych śladów, któreby dowodziły, że ktoś popełnił zbrodnię na staruszku. Gdyby zaś i to nie wystarczało, aby wyrobić w policyi przekonanie, iż zmarły padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, to fakt, że ubranie jego nie było poszarpane i że znaleziono przy nim wszystkie pieniądze oraz biżuterye, dowodził niezbicie, iż o zbrodni mówić nawet nie było można.

A oprócz tego na drugi dzień zjawił się w policyi człowiek, którego zeznania w pewnej mierze wyjaśniały, skąd Rudolf Springer wziął się owej nieszczęsnej nocy w okolicy przystani. Człowiek ten był właścicielem gospody w dzielnicy, przylegającej do portu, a chociaż nie cieszył się on u władz bezpieczeństwa najlepszą reputacyą, to jednak w tym wypadku nie potrzeba mu było niedowierzać. Człowiek ten zgłosił się z własnej woli i zeznał, że owej nocy do gospody jego wszedł obcy całkiem, elegancki staruszek, zupełnie podobny do Rudolfa Springera, według rysopisu podanego przez gazety. W całej jego postaci widać było zmęczenie. Gdy wszedł i kazał sobie podać szklankę grogu, było już pewnie parę minut po jedenastej. Ponieważ cała gospoda była nabita majtkami, robotnikami portowymi i wogóle ludźmi należącymi do niższej sfery, on sam zaprowadził eleganckiego staruszka do swego prywatnego pomieszkania i tu podał mu żądany napitek. Staruszek skarżył się wówczas przed nim, że dopiero tego dnia przybył z Ameryki północnej do ojczyzny i poszedłszy ze znajomym do teatru, po przedstawieniu zgubił go gdzieś w tłumie, a następnie zabłądził i idąc w fałszywie wskazanym kierunku, zaszedł aż do tej dzielnicy. Za namową gospodarza, gość odpoczął sobie z godzinkę w jego pomieszkaniu, a potem, otrzymawszy dokładne wskazówki, którędy ma iść, aby dotrzeć do „Hotelu czterech pór roku“, udał się w dalszą drogę. Staruszek był wesół i w znakomitym humorze, pewnie jednak znów zmylił drogę, bo inaczej nie mógłby nigdy dostać się aż do przystani. (C. d. n.

Podróż do Krakowa.

Smutna humoreska z rzeczywistego zdarzenia.

Co strzeliło do głowy p. Kazimierzowi i p. Antoniemu i co spowodowało ich wspólną wędrówkę na bruk krakowski? — jest to do chwili obecnej najściślejszą tajemnicą stanu, której dociec niepodobna. Jedna rzecz jest pewna, że pp. Kazimierz i Antoni rumienią się w zawody, aż po same uszy, gdy im kto tę pielgrzymkę krakowską przypomni. Pan Kazimierz i p. Antoni byli to ludzie najbardziej roztargnieni, jacy kiedykolwiek żyli pod słońcem, co zaś najcharakterystyczniejsze, że każdy z nich widział tę straszną wadę w drugim, w sobie zaś nigdy, i oczywiście strofowali się ciągle nawzajem. Pewnego wieczoru przy kolacyi odezwał się p. Antoni do pana Kazimierza sentencyonalnie:

— Wiesz co, Kaziu, pojechałbym z tobą zagranicę, cóż, kiedyś taki roztargniony, jeszcze co w drodze zmalujesz.

— Pyszny jesteś sobie, jak Pana Boga kocham, hm (Kazio, gdy mówi, ma zwyczaj wyciągać mankiety i co chwila chrząkać) kocioł garnkowi przygania. I jabym z tobą pojechał, ale wyprawisz jaką awanturę. Mało to awantur robisz tutaj, w Warszawie?

Pomimo tej różnicy w zdaniach, wielka wędrówka dwóch przyjaciół została postanowiona!

Nazajutrz ranny pociąg, na który, mówiąc nawiasem, p. Kazimierz o mało się nie spóźnił, powiózł obu przyjaciół do granicy. Wyjazd odbył się bez najmniejszego wypadku, w drodze każdy z przyjaciół uważał pilnie na kolejowy dzwonek, pieniędzy nie zapomniano, i tylko przez jednę stacyę obydwaj przyjaciele, pomyliwszy się w wagonach, odbywali podróż osobno.

Tak dojechali szczęśliwie do Granicy. P. Kazimierz, który, z przyczyny ciśnienia nowych butów, zdjął je, omal że w skarpetkach nie wbiegł do sali rewizyjnej, na szczęście zwrócił dość wcześnie p. Antoni uwagę na tę niewłaściwość. Ale i on, nieborak, nie lepiej się zaprezentował na rozgraniczu dwóch mocarstw.

Zawezwany dla pokazania dokumentów, sięgnął pan Antoni do kieszeni paltota po — paszport.

Dotknęło go co prawda trochę, że nie znalazł swego niezbędnego „vade-mecum“ tam, gdzie się spodziewał je znaleźć, przypisując to jednak swemu nieszczęsnemu roztargnieniu, zaczął skrupulatnie kolejno poszukiwania po wszystkich kieszeniach ubrania, mieszając się coraz bardziej pod inkwizytorskiem spojrzeniem żandarma.

Daremnie!... ani śladu z paszportu! Pan Antoni zaczął da capo przetrząsanie wszelkich możliwych skrytek garderoby, obmacywał się na wszystkie strony — przewracał, wywracał kieszenie i uderzał się po głowie, jakby z zamiarem pobudzenia opornej mózgownicy do skupionej pracy nad paszportowem zagadnieniem.

— Do dyabła, gdzież ja ten paszport podziałem — bąka zaambarasowany, gdy żandarm wyczekuje na jego zeznanie. — Jest!... nie, to rejestr bielizny... po kiego dyabła brałem rejestr bielizny... Aha!... tu... nie, to dzisiejszy „Kuryer Poranny“. Piękna historya! wracajmy, niema paszportu!...

Pan Kazimierz formalnie się wścieka, paszportu mimo tego jak niema, tak niema. Wtem nagle spostrzega dwie książeczki w bocznej kieszeni paltota pana Antoniego, wyrywa je i z tryumfującą miną podaje żandarmowi.

Żandarm podane dokumenta ogląda i groźnie prosi do p. kapitana, gdzie pokazuje się, że jedna z książeczek jest książką udziałową stowarzyszenia „Merkury“, a druga paszportem kuzynki pana Kazimierza...

— Ha! wracajcie panowie napowrót — wypada decyzya.

— Co? jak? hm... — wyciągając mankiety pyta p. Kazimierz, a p. Antoni zdaje się coś kombinować.

Książeczka Merkurego i paszport kobiecy za legitymacyę nie wystarczą.

— Mam! — woła gwałtownie p. Antoni.

— Co? jak? hm!

— Pokaż-no palto, Kaziu!

Kazio zdejmuje palto, i okazuje się, że poczciwiec zamienił swoje palto z paltem p. Antoniego i że stąd nieporozumienia wynikły, bo oczywiście, nie znając kieszeni obcego paltota, a tem mniej ich zawartości — nie mógł p. Antoni paszportu się doszukać, tem więcej, że w palcie p. Kazimierza poszukiwanego dokumentu nie było wcale.

No! rozwiązana kwestya! Pan kapitan się śmieje, niefortunni podróżnicy — śmieją się również.

Pan Kazimierz chrząka i wyciąga mankiety, bo w tej chwili kombinuje, jakie mydło dostanie od kuzynki, której paszport i udziałową książeczkę Merkurego zabrał. Humor jednak powrócił — postanowienie poprawy ślubowano święcie i jazda dalej. W Granicy do kompanii dwóch naszych znajomych przyłącza się draśnięta już zębem czasu dziewoja z olbrzymim koszem renklodów w ręku.

Pan Kazimierz jest niesłychanie wrażliwym na widok spódniczki, trąca w bok pana Antoniego, który z swej strony ten objaw zainteresowania się przyjaciela przyjmuje milczącą aprobatą.

Dzyń, dzyń — pociąg rusza i wjeżdża na terytoryum austryackie.

Towarzyszka podróży, po zwykłej rekomendacyi i pierwszych frazesach, zaczyna się opychać śliwkami.

Ach, czy wiecie wy, łaskawi czytelnicy, jakie to czasem opłakane bywają skutki z tego owocu w podróży?...

Zaprzyjaźnione towarzystwo mija jedną stacyę — nic, drugą, jeszcze nic.

Na trzeciej interesująca dama zaczyna się czerwienić, a ruchy jej zdradzają pewien rozstrój czy niepokój.

Na stacyi czwartej symptomaty dziwnej choroby przybierają zatrważające cechy i powiększają się o nowe objawy, jak nerwowe kręcenie się na siedzeniu i przebieranie nogami... Ba! podejrzane objawy udzielają się niezadługo i p. Kazimierzowi, który zaledwie czas miał odchrząknąć:

— Co? jak? hm! hm!

I, zapomniawszy nawet ulubionego ruchu z mankietami, zbladł, stracił widocznie humor, i jakby jakąś monomanią ogarnięty, raz po raz zapytuje towarzysza: „czy prędko będzie najbliższa stacya?“

Pan Antoni mało zważał na to, co się koło niego dzieje, opowiadając śliwkowej damie z przejęciem treść najnowszej sztuki, wystawionej w warszawskim teatrze.

W chwalebnym zresztą zapale, jaki w duszy jego zawsze obudzała sztuka — nie zauważył także poczciwy p. Antoni, że i interlokutorce jego oczy z orbit wyłażą, a niespokojne kręcenie się na miejscu — potęguje.

Dama ze śliwkami (a właściwie już teraz z próżnym koszykiem po śliwkach) zdawała się cierpieć niewymownie. Nagle się zrywa, a spojrzawszy współprzytomnie po obu towarzyszach podróży, jęknęła grobowym głosem:

— Panowie, zlitujcie się... Umieram!

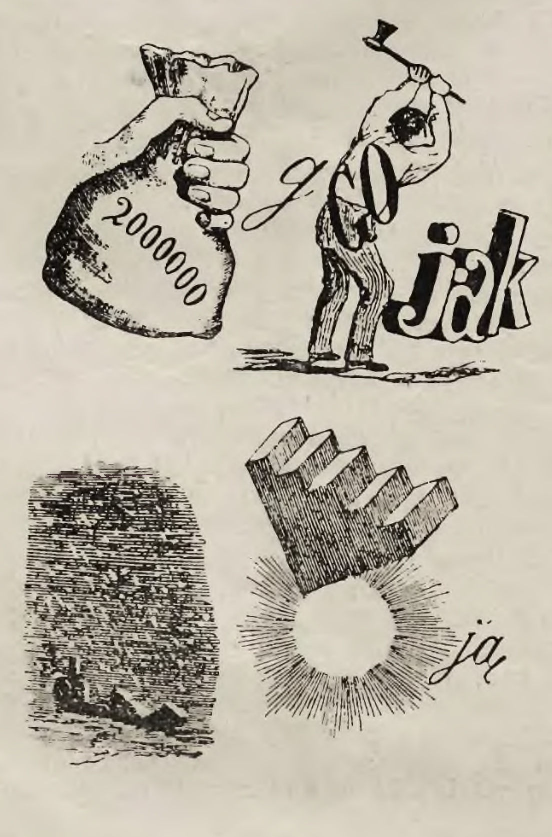
— Dobryś!... — woła p. Kazimierz jakimś złamanym głosem, którego mu pozazdrościć mógł cień ojca Hamletowego.

— Co? co się stało? — woła p. Antoni, czując niejako w powietrzu powiew skrzydeł anioła śmierci, a zarazem i coś jeszcze, coś, z czego sobie na razie sprawy zdać nie umiał.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Logogryf.

Z sylab: a, bie, ćmie, e, fryd, gro, an, krym, li, mi, nie, nie, nom, on, ot, ró, ski, so, śnie, ton, wi, za, zyg, ża ułożyć 10 wyrazów, których pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko naszej znakomitej powieściopisarki i tytuł jej powieści.

Znaczenie wyrazów:

1. Zaimek.
2. Kwiat.
3. Imię męskie.
4. Imię męskie.
5. Król polski.
6. Zjawisko niebieskie.
7. Półwysep w Europie.
8. Imię męskie.
9. Owoce.
10. Uczony rolnik.

Szarady.

Ułożył M. Thuna.

I.

W carskim siole znajdziesz drugiego
Tam się ukrywa, boi się pierwszego,
Zaś Tobie biada, mój ty czytelniku
Gdy całość nie masz w Swym pularesiku.

II.

Humorysta pierwsze wstecz, lubiał drugie trzecie
Całość — nie powiem, to sami zgadniecie.

III.

Drugie-trzecie, są to miasta,
Które mają świetną sławę...
Dwa-raz winne, lub słodkawe:
Jecie chętnie — tak, jak ciasta...
Wszystkie cenne weźmiesz snadnie,
Gdy na ciebie los wypadnie!..

Arytmogryf.

ułożył W. K.

11 7 17 3 7 **12** 14 28 8 17 14
20 17 4 20 **4** 17 18 1 24
23 7 **16** 15 7
12 8 7 17 10 15 25 **1** 17 1 11 15 1 10 4
18 7 8 19 22 **14** 3 21 9 26 17
9 1 17 16 **3** 23 4 17 8
21 18 15 9 16 1 **8** 7 17 3 1 17 3
12 18 7 16 21 4 **17** 8 4 9 7 24 18
7 10 7 **3** 23 7 16
13 4 16 7 **11** 4 21 16 7
9 15 1 **12** 2 7 9
19 27 14 16 15 7 17 4 **8** 4 12 18 7 6 12 8 7
24 18 1 5 16 **15** 8 26 9 16 8
24 27 21 18 4 18 15 **1** 11 24 18 3 18 16 7

W powyższych 14 rzędach zamienić liczby na litery, z których przypadną literackie utwory następujących pisarzy i poetów:

Słowackiego, Kochanowskiego, Sienkiewicza, Ujejskiego, Łozińskiego, Czajkowskiego, Lama, Miłkowskiego, Krasińskiego, Krasickiego, Brodzińskiego, Szymonowicza, Kraszewskiego i A. Fredry; środkowa linia wyraża arcydzieło poezyi polskiej.

Logogryf.

Z następujących sylab:
a, czart, do, drach, gier, go, gus, i, im, kan, ki, ko, kon, lak, li, li, ma, mi, mus, na, ne, nik, no, nol, no, o, o, o, ok, pac, pe, pir, ra, re, recht, so, ta, te, top, tu, ty, ut, we, wę, zo, zo, zyr
ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, stanowiłyby imię i nazwisko poety polskiego, końcowe zaś — utwór tego poety.

Znaczenie wyrazów.

1. Farba roślinna.
2. Tkanina.
3. Moneta grecka.
4. Urząd w Turcyi.
5. Wyraz, używany w utworach muzycznych.
6. Miasto w Rosyi.
7. Rzeka w Afryce.
8. Środek dezynfekcyjny.
9. Tytuł króla Abisynii.
10. Imię męskie.
11. Pisarz Polski.
12. Miasto w Hiszpanii.
13. Zwierzę.
14. Część budowli.
15. Humorysta polski.
16. Imię żeńskie.
17. Duch.
18. Zwierzęta skamieniałe.

Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy powieść Gruszeckiego pt. **„Nowy obywatel“.**

Rozwiązania z Nru 21.

Szarady: I. Kołysanki. II. Zamiary.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: M. Łotocki Budzanów, T. Domain Sanok, E, Füllerówna Rzeszów, M. Zoellnerówna Tarnopol, M. Arbesbauer Lwów, W. Błoński Tarnobrzeg, B. Ramułtowa Jeżów ad Bobowa, Żabka Biała, M. Cetera Dubiecko, Wł. Kamiański Sokal, K. Fuchs Peczeniżyn, St. Banach Chorostków, M. Rożański Nowy Sącz, A. Najkowski Łańcut, St. W. Andrysik, M. Petrykowa Kozy, A. St. Bassara Niwiska, Z. Gocka Rożniatów, St. Łaszkiewicz Słotwina.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14



Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr.
wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!



może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer w Krakowie ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 134. Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Darmo i opłatnie
otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik **Instrumentów muzycznych** oraz różnych **ZABAWEK**





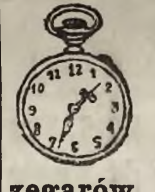
A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Kart widokowych z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech

Henryk Frist, Kraków
właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.

Lodownie pokojowe, Lodownice amerykańskie, Formy na lody, Siatki druciane od much, Żelazka do prasow. na spirytus poleca

Tom. Górecki, Kraków.



Na żądanie wysyłam wielki **CENNIK illustrow.** **zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p.

MAGAZYN MEBLI ŻELAZNYCH, MATERACÓW SPRĘŻYNOWYCH I WYROBÓW DRUCIANYCH

KRAKOWSKIEJ FABRYKI **JÓZEFA GORECKIEGO**
ul. Starowiślna l. 44 w parterze, fabryka ul. św. Wawrzyńca l. 26.
14-22 telefon Nr. 277.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:

Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.

Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.

Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.



Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy **podać całą długość**, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — **Filie w Łańcucie i w Gorlicach.** 2 10-29

N a sezon obecny polecamy P. T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:

„PUCH RAD“

firmy: JAN PUCH
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FABRYKI ROWERÓW W GRACU.

Na składzie utrzymujemy również **rowery** fabryki:

„METEOR“

jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

A paraty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie, Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego
poleca:

Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.